

KAJTOCHOWIE

ROZMOWY Z ANNA I JACKIEM KAJTOCHAMI

Wywiady przeprowadziła
Ewa Kapusta

KAJTOCHOWIE

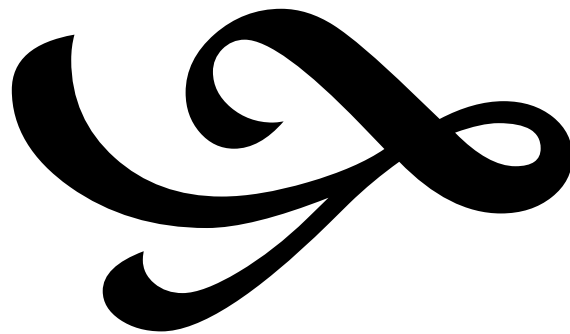
ROZMOWY Z ANNĄ I JACKIEM KAJTOCHAMI

Wywiady przeprowadziła
Ewa Kapusta
(2010 r.)

Zredagował i przygotował do druku Wojciech Kajtoch

Internetowo przysposobił Antoni Bojanowski
www.kajtochowa.olesno.pl

2012



ANNA KAJTOCHOWA

(listopad 2010)

Nazywam się Anna Kajtochowa, mieszkam w Krakowie od 1948 roku. Poprzednie lata spędziłam w swojej rodzinnej miejscowości - jest to Brzozów na Podkarpaciu - w środowisku... małorolnych to się wtedy nazywało i oczywiście ojciec miał bardzo małe pole; zarabiał dodatkowo furmaństwem, ponieważ miejscowość była odległa od najbliższej stacji kolejowej, z jednej strony trzydzieści, z drugiej dwadzieścia osiem kilometrów. Tym sposobem dorabiał, bo przywoził towary i wszystko, co było potrzebne do zaopatrzenia. No a równocześnie pracował na swoim, jak się okazało, pół-hektarowym gospodarstwie i u sąsiadów.

U nas w domu było ludzi sporo, bo ojciec starał się o utrzymanie nie tylko swojej rodziny, która liczyła pięcioro dzieci, małżonki, także swojej matki wdowy, no i młodszego brata, który miał chyba pięcioro dzieci. Wszyscy razem mieszkali w pokoju z kuchnią, bez podłogi, w sąsiedztwie zwierzyny domowej, to znaczy po jednej stronie był chlewik, po drugiej stajnia, był koń, była krowa, a nawet czasem ciele, które mieszkało razem z nami w kuchni, bo jak się na przykład krowa cielila w zimie, to było za zimno, żeby tam ciele mogło przebywać, no i wskutek czego ja dzieliłam kuchnię razem z cielisią, która miała to do siebie, że potrafiła w nocy wstać i lizać moją stopę [śmiech]. Ja się bardzo bałam, ale ciele było prawie takie samo małe jak i ja, nie był to problem.

Kraków dla mnie to było (podobnie zresztą, jak pociąg, jak autobus, podobnie, jak wszystkie inne środki lokomocji, ja już nie wspominam o telefonie, o łazienkach, o wszystkim tym, co się wiąże ze współczesną cywilizacją)... to było marzenie nie do osiągnięcia. Zresztą w okresie okupacji to nawet o tym nie marzyłam, chociaż przygotowywałam się do zmiany zawodu, mianowicie zaraz po sześciu klasach otworzono u nas handlówkę - zgodnie z zaleceniami Generalnej Guberni, był to jedyny zawód, który Polacy mogli wykonywać, stąd właśnie kształcenie w tym zakresie.

Ja zaliczyłam tę handlówkę i miałam wielkie szczęście, ponieważ w handlówce pracowali ci nauczyciele, którzy potem w ciągu czterech, trzech lat dali nam maturę. Należałam do pokolenia, które gonilo czas. W naszej klasie było trzydzieści osób w wieku od szesnastu do dwudziestu kilku. Część kolegów przychodziła na lekcje z wypchanymi kieszeniami. Były tam jeszcze różne karabiny, no... to były schowane w wierzbie, natomiast rewolwery były w

tych kieszeniach. No specjalnie nie paliliśmy się do tego, żeby dotykać, myśmy się bały, ale koledzy byli, jak mówię, w wieku takim i takim. I żeśmy się bardzo, bardzo pilnie uczyli; my normalnie – jak dziewczyny, a oni, żeby jak najszybciej skończyć, zdać maturę.

Z naszej klasy, było nas, jak mówię, trzydzieści dwoje chyba, wyjechali prawie wszyscy, ale też przedtem jeszcze przygotowywaliśmy się do istnienia. Od czterdziestego czwartego roku do czterdziestego ósmego – to były cztery lata bardzo wytężonej pracy, nie tylko tej w klasach, które się przechodziło, ale także działalność społeczna. Przede wszystkim harcerstwo to jest jedna dziedzina, druga dziedzina to PWK, wynikająca stąd, że moja nauczycielka, ucząca PWK, czyli przysposobienia wojskowego kobiet, należała do uroczych, ślicznych dziewczyn, ale bez zgoła jakiegokolwiek postury wojskowej i głos miała bardzo miły i taki sympatyczny, ale krzyknąć „baczność”, czy „spocznij” i takie inne komendy no to nie i wyręczała się moją osobą. I dlatego o tym wspominam. Dlatego że chociaż droga do nauki, o której marzyłam od małego dziecka wręcz, była skomplikowana w moim wypadku, bo nie mogłam liczyć na żadną pomoc; ona wymyśliła, że ja zdobędę w trakcie nauczania w szkole średniej, już możliwość pracy. Wskutek tego wysłała mnie na kurs PWK – przysposobienia wojskowego kobiet do Garczyna, to było jeden raz, a potem drugi raz do Garczyna w czterdziestym ósmym roku, gdzie pogłębiłam tę wiedzę: najpierw to byłam szefem hufca.. nie, to nie był hufiec, to się nazywało kompania..., a w ogóle całość tych wszystkich dziewcząt należała właśnie do tego zespołu. Najpierw byłam szefem tej kompani, a potem, już po kursie dla komendantek hufców szkolnych mogłam ten zawód wykonywać.

No i rzeczywiście w czterdziestym ósmym roku, zaraz po maturze, kiedy zdobyłam na sześciotygodniowym kursie te wszystkie potrzebne rzeczy, zostałam zaangażowana jako komendantka hufców szkolnych najpierw w Bochni, a potem w Krakowie. Także całe trzy lata studiów uniwersyteckich to była z jednej strony praca, zresztą na coraz innych polach, bo nie tylko prowadziłam ten hufiec szkolny, ale także świetlicę szkolną, no i oczywiście zaliczyłam wszystko, co trzeba było i skończyło się tym, że z jednej strony ze swojej szkoły awansowałam piętro wyżej, czyli na wizytatorkę, a z drugiej strony skończyłam studia i dostałam przydział pracy do „Gazety Krakowskiej”.

Zaczął się zupełnie nowy rozdział moich zainteresowań, no i wykonywanego zawodu. Dziennikarstwo akurat zupełnie odbiegało od tego, co robiłam do tej pory, wymagało innej mobilizacji, innych zdolności, innej wiedzy. To, co zyskałam na uniwersytecie, a zyskałam dużo: mieliśmy na naszym wydziale takich nauczycieli, jak Kazimierz Wyka, jak Maria Dłuska, jak i inne nazwiska, które w tej chwili trudno mi... musiałabym po indeks sięgnąć, to byli ludzie bardzo przygotowani i bardzo zaangażowani w to, co robili. Wiedzieli, że na studiach

było to samo, co było w szkole średniej, mianowicie ludzie w różnym wieku, z różnych środowisk, którzy pragnęli zdobyć ten właśnie zawód dziennikarski, albo księgowego, bo tam wtedy dawano różne zawody. Dziennikarzy od nas było mniej, ale na roku na przykład był Lucjan Kydryński, potem byli ludzie... na przykład Szczepański, który kierował kiedyś Telewizją Polską; jednym słowem ludzie, którzy potem zajmowali znaczne, znaczące stanowiska w swoich dziedzinach.

Po skończeniu studiów, jak mówię, tam zaczęłam pracować, pracowałam dziewięć lat w dziennikarstwie - to w dzienniku, a potem przeszłam do pracy w miesięczniku, a na końcu skończyłam w dwutygodniku i potem tygodniku. Mianowicie, kolejno, to była „Gazeta Krakowska”, a potem „Głos Młodzieży Wiejskiej”, potem „Głos Młodzieży”, potem „Student” i na końcu „TeMi”. Wszystko to działo się w Krakowie, bo wszystkie te gazety wychodziły tutaj na miejscu, bez względu na tytuł bardziej, czy mniej regionalny.

No a do tego była druga dziedzina, mianowicie w pięćdziesiątym pierwszym roku zostałam małżonką swojego męża, czyli w tym roku jest pięćdziesiąt dziewięć lat wspólnie, no i urodziły się dzieci. Była i jest Marta, córka, która się urodziła w pięćdziesiątym drugim roku i syn, który się urodził w pięćdziesiątym siódmym roku. Oprócz tego, że dzieci z jednej strony rosły, to z drugiej bardzo chorowały. Obydwoje z mężem należeliśmy do pokolenia, które poraziła wojna. Mówię: poraziła, bo przecież i ja, i on cierpieliśmy normalny głód, ja pamiętam, że swego czasu jadłam tylko lebiędę przez tydzień, a przez inny tydzień bób, bo nie było zboża, ziemniaki wymarzły, żniwa były bardzo, bardzo ciężkie, do tego w dużym stopniu ojciec musiał oddawać to, co się dobrze urodziło, tak zwane kontyngenty, a nieoddanie takiego czegoś stawiało pod ścianą. Więc ratując życie trzeba było oddawać to, co z drugiej strony życie podtrzymywało, bo jak się oddało te plody no to nie było co jeść.

Dzięki Bogu wszystko to minęło, ale i zostało: mianowicie córka w bardzo młodym wieku zapadła na gruźlicę, a syn miał kłopoty w ogóle z kształtowaniem się rąk, nóg i tak dalej. To były dodatkowe rzeczy wymagające ode mnie bardzo dużej wytrwałości i gromadzenia środków, i starania się o ich zdrowie. Na szczęście wszystko to pięknie minęło, jeszcze z przygodami, bo jedne choroby zostały zastąpione przez inne choroby, no ale dzięki Bogu i jedno, i drugie żyje, i jedno, i drugie - jak to się mówi - wyszło na ludzi, mają pracę: córka jest redaktorem w wydawnictwie lekarskim, jej mąż jest habilitowanym profesorem na Uniwersytecie Jagiellońskim i syn jest habilitowanym profesorem na Uniwersytecie Jagiellońskim, synowa w Polskiej Akademii Nauk, także wnuki, bo już mam dorosłe wnuki, jeden jest doktorem od spraw muzycznych i pracuje w, nie potrafię powiedzieć nazwy tego, ośrodek jakiś jazzowy w Stanach, ale on pracuje na uczelni tam, razem ze swoją żoną, która jest woka-

lem, bo on jest kompozytorem i dyrygentem – to najstarszy. Wnuczka poszła do pracy w tej samej gazecie, w której ja byłam przed pięćdziesięciu laty, też oczywiście po ukończeniu studiów dziennikarskich na UJ-ocie, no i najmłodszy w tym roku, w czerwcu został magistrem politologii, a drugi kierunek to serbistyka, no i teraz pracuje, ale gdzie to dokładnie nie wiem, bo mamy kontakty bardzo ograniczone.

Czyli rodzinie, można powiedzieć, nastąpiło całkowite spełnienie. Ale to się wiąże z tym, że - jak pamiętam - jak miałam w okresie ich chorób cztery godziny na sen to było wszystko, dlatego, że myśmy, oprócz tego, że miałam pracę etatową, to musieliśmy zarobić. On [mąż – E. K.] też miał pracę etatową, on pracował na uniwersytecie cały czas. Trzeba było na lekarstwa, lekarzy i dodatkowe zabiegi, na przykład syn musiał mieć dodatkową gimnastykę, córka też dodatkową gimnastykę, masaże i tak dalej – to wszystko nie wchodziło w zakres służby zdrowia, a do tego musieliśmy przecież... w tym domu dokładnie był ten stół, była tamta szafa i za to wszystko...

Dostaliśmy to mieszkanie, znaczy redakcja przydzieliła, ale przedtem mieszkał tutaj kolega, który się wyprowadzał. A wyprowadzał się za granicę. Więc on musiał dostać pieniądze za te tu rzeczy, które zostawił, żeby tam się mógł urządzić. I to już były sprawy niezwiązane z żadną inną płatnością prócz naszej pracy, więc powiadam, jak pracowaliśmy, jak spaliśmy cztery godziny to to było wszystko.

Odpadły wobec tego wszelkie... ja nie wiedziałam, co to jest kawiarnia. Odpadły w zasadzie sprawy towarzyskie, spotykaliśmy się co najwyżej na imieninach, bo to w redakcjach składaliśmy się kolejno na jakiś prezent dla każdego, kto obchodził imieniny; króciutko, no bo trzeba było wracać, były dzieci. Tu poza tym to jest mieszkanie amfiladowe, jeżeli były tu dzieci, bo to był pokój dziecienny, to nie sposób było urządzać przyjęć, czy w ogóle przyjmować gości, wtedy, kiedy się siadało na głowie drugiego człowieka, no bo te dzieci, to byli przecież ludzie. Ale zostało nam trochę takich rozmaitych, jak wspomina syn teraz - to znaczy, ludzie, którzy o nim piszą wspominają, że on to wspomina - no na przykład, że przychodzili tu koledzy literaci, dziennikarze, ktoś, kto przyjeżdżał, a syn miał takie hobby, od małego, że prosił o autografy, i te autografy były tu na całej ścianie [śmiech], ale trzeba było malować i autografy znikwały. Tak to wyglądało...

Ta dodatkowa praca, na czym ona polegała. Wiadomo, że jedno pismo i drugie pismo wiązało się z młodzieżowymi organizacjami. Te pisma miały swoje programy, miały swoje regulaminy, między innymi sprawy wyborcze na przykład. Co jakiś czas odbywały się zjazdy wojewódzkie i trzeba było przygotować materiał. No to ja przygotowywałam te materiały, różne, statystyczne i tak dalej, i to trzeba było zrobić tak dokładnie z dnia na dzień, bo oni

ściągali te materiały z terenu... niekoniecznie to leciało tak, jak przewidywały terminy, no więc to robiłam. Dodatkowo robiłam sprawozdania z różnych dziedzin, co się tu działo, do „Chłopskiej Drogi”, do „Trybuny Ludu”, do radia, zresztą radio korzystało z tego, co myśmy robili na co dzień. No i trzeba było też zapełnić codziennie co najmniej dwie kolumny. Nie licząc tego, że trzeba było dyżurować.

Jak pracowałam na początku w sekretariacie redakcji, to była bardzo odpowiedzialna praca: codziennie numer, a poza tym nie była to taka normalna działalność, bo nad wszystkim czuwała cenzura. Ponieważ i na dyżurach, i w trakcie robienia gazety ja byłam czynna tam, no bo musiałam, no to musiałam też kontaktować się z cenzurą i wyklócać się z nimi, albo od razu przeredagowywać. A to trwało. Nieraz gazeta się spóźniała o parę godzin, dlatego że trwały konferencje wewnętrzne, zewnętrzne, czasem z udziałem jeszcze osób trzecich. Te zapisy cenzuralne - moim zdaniem - w wielu wypadkach były chyba wyrazem tego, że sama cenzura musiała bardzo zważać na to, co mówi, bo z niczym mnie się to osobiście nie kojarzyło, ale im się kojarzyło wszystko [śmiech]. Czasem też się zdarzało, że odpuszczali.

Najlepiej ta sprawa wyglądała wtedy, kiedy rzecz się oparła o ustawę. To głównie dotyczyło „Studenta”. Były paragrafy i na przykład ukazywał się artykuł tego lub owego. W „Studencie” na przykład pracował Adam Zagajewski, pracował Nyczek, pracował Mleczek, to znaczy dawał zawsze jakieś materiały... no jednym słowem byli to raczej ludzie, którzy kontestowali i oni tego nie kryli. No wtedy, kiedy siadała cenzura, to pisaliśmy: paragraf taki i taki, tu i tu, strona taka i taka. I tak się ukazywały materiały. Niektóre były przeredagowywane, a niektóre normalne, właśnie z takim zapisem, kiedy nie było albo czasu, albo każdy obstawał przy swoim zdaniu - wtedy było napisane, na podstawie czego to zostało skreślone. No to była ta działalność, która, jak mówię, zabierała bardzo dużo czasu, a zwłaszcza wtedy, kiedy ten numer powinien już być się ukazać. No i to się wiązało niestety ale z dodatkowymi kosztami.

Niezależnie od tej sprawy interesowały mnie kwestie literackie i z tego tytułu brałam też udział w pracach oddziału krakowskiego ZMP, to znaczy należałam do ludzi organizujących to życie literackie. To było w latach sześćdziesiątych. W latach siedemdziesiątych to już pracowałam w „Studencie”, trochę się sprawy z dziećmi, z ich zdrowiem uładziły, natomiast zapadł mąż. Jak skończył trzydzieści lat, nie mogli zdiagnozować, co mu jest, bardzo chorował przez pół roku, a potem w ogóle okazało się, że to była sprawa; operowali go i gdyby nie ta operacja - to pewnie by nie przeżył. Okazało się, że on miał bezcieniowe kamienie żółciowe, które spowodowały taki stan wątroby, że uratowała go ta operacja. Ale ten ratunek wcale nie oznaczał, że jest wszystko w porządku. Przez lat kolejnych dwadzieścia była konieczność

stałej diety i to ostrej diety. Wobec tego należało się starać o coś, co on mógł jeść. On mógł jeść tylko kaszę, to się ją zdobywało na Kleparzu, albo cielęcinę. Na szczęście mieliśmy bardzo dobre układy z naszymi sąsiadami na górze, którzy mieli jakieś stałe źródło zakupów tej cielęciny. Oni kupowali ileś tam i dzielili, i myśmy dzięki temu mogli..., dzięki temu mogłam po prostu zabezpieczyć jemu zdrowie, w każdym razie to, że nie narzekał, bo tamta choroba była okropna, i dzieci też przy okazji jadły, i ja też jadłam, dzięki temu jakoś żeśmy powychodzili z tych wszystkich chorób.

Ta praca młodoliteracka, młodzieżowa polegała między innymi na tym, żeśmy się bardzo cieszyli. Opiekunem był Adam Włodek, pierwszy mąż Wisławy Szymborskiej. On zorganizował rodzaj takiego rytuału, że jak na przykład ukazywała się kolumna w Życiu Literackim, to wtedy spotykaliśmy się u kogoś, kto miał mieszkanie, albo u Adama Augustyna, albo u Czarneckiego przy jakimś tam kieliszku jednym albo dwu... i jedliśmy biały groch w charakterze zakąski..., i oczywiście kawa, herbata i rozmowy literackie... spędzaliśmy miły wieczór. Niedługo, bo bramę zamykano o dziesiątej, więc trzeba było iść, żeby tak zwanej szpary nie trzeba było uiszczać, a po wtóre i tak, i tak przecież były różne obowiązki i domowe, i ogólnie wszystko. Tylko przyjaźnie się wtedy zachowywały, czasem przyszła do nas Czałczyńska, czasem przyszła Ewa Lipska, jednym słowem żeśmy tak rozmawiali, o tym, o owym.

Kawiarnie... tego żeśmy nie znali. Jak ja sobie przypominam w tej chwili, to podczas studiów byłam na jednym balu, takim koleżeńskim. Razem żeśmy byli chyba na dwóch sylwestrach, raz w Klubie Dziennikarza, a drugi raz chyba w Warszawiance. I chyba to wszystko. Miałam jedną kreację, na którą dodatkowo zarobiłam, jak pamiętam, to była suknia z tafy, bardzo mi się podobała. Poza tym nie było specjalnie okazji do tego, żeby być modną, żeby być szalową, no najważniejsze, żeby dzieci były zdrowe, żeby on [mąż – E. K.] był zdrowy, żebyśmy mieli co jeść. A i jeszcze jedna rzecz: ponieważ on wtedy prowadził ożywioną działalność krytycznoliteracką, żebyśmy mieli dostęp do książek. Zorganizowaliśmy rodzaj biblioteki, która w tej chwili już tak nie służy nam, bo i oczy nie te. Ale pozostały z tamtych czasów, już rozpoczęte wtedy te dążenia literackie. Wskutek tego w latach osiemdziesiątych, kiedy się moje zdrowie zaczęło psuć i już nie mogłam tak pracować, jak pracowałam, to zajęłam się właśnie literaturą.

Pierwsza książka wyszła w osiemdziesiątym drugim, nazywała się „Babcia”, ale to było pod presją, że mi zostały trzy miesiące życia, na szczęście potem okazało się, że ta diagnoza była nie taka. Więc wtedy powstała pierwsza powieść, potem działalność grupy „Nadszkawie” i pierwsze wiersze zebrane, bo ja pisałam wtedy wiersze chyba od czterdziestego szóstego

go roku albo i wcześniej. Jak sobie przypominam, w bardzo wczesnym dzieciństwie powstał taki wiersz „Odłot dzikich gęsi” [śmiech], który potem zresztą zrekonstruowałam na potrzeby książki na mój temat, a mianowicie „Były niegdyś wędrówki o świecie. Opowieści o Annie Kajtochowej”, którą napisał mój - można powiedzieć - w jakiś sposób podopieczny, bo gdzieś szesnaście może lat temu zainteresowałam się działalnością wśród ludzi tworzących literaturę i powstała grupa „Każdy”, kiedyś zorganizowana wspólnie z Rodzikiem, który prowadził audycje w radiu Alfa i z tą grupą współpracuję już szesnasty rok.

Grupa ma otwarty charakter, nie jest zbyt instytucjonalna, każdy, kto chce, przychodzi, spotkania odbywają się raz na miesiąc, spotykają się tam różni ludzie w różnym wieku, i studenci, i panie, które piszą pierwsze książki po siedemdziesiątce. Także osobiście lubię tę pracę, zwłaszcza, że są ludzie coraz ciekawszy, jeśli chodzi o to, z czym występują. To jest jedna taka moja działalność. Jeszcze jest druga - miejscowość nazywa się Olesno - bardzo wdzięczna, prowadzą moją stronę internetową, bo ja nie mam komputera, więc istnieję w Internecie w zasadzie bez mojego udziału. Tam przewodniczę takiemu jury międzyszkolnego konkursu literackiego. W tym miasteczku (urocza miejscowość) w pobliżu Częstochowy jest coraz to więcej ludzi zainteresowanych literaturą. Piszą książki. Niektórzy - pierwsi, którzy zdobyli laur w tym konkursie - są doktorami, jeden filmoznawstwa, drugi polonistyki, mają już na swoim koncie po parę książek, a ta poezja w dalszym ciągu jest, konkursy się odbywają co roku, no i co roku są nawet nagrody w postaci książek, które funduje Komitet Rodzicielski, czy szkoła. Więc moje zainteresowania społeczne, które kiedyś istniały, praca w organizacjach młodzieżowych (bo byłam jednocześnie opiekunką koła ZMP) w dalszym ciągu są kontynuowane, tylko w innych dziedzinach, to znaczy wśród innych środowisk.

To chyba wszystko.

To może powróćmy do Krakowa, do Pani przyjazdu do Krakowa. Jak Pani wspomina ówczesne miasto?

Tak...

Jakie ono zrobiło na Pani wrażenie?

No przede wszystkim, na początku to tylko jednym tramwajem jeździłam z Alei Słowackiego na... najpierw z Lubelskiej do Basztowej, a z Basztowej na Marka, bo tam była uczelnia. Potem z kolei, jak mieszkalam na Długiej, to szłam przez Filipa do stacji kolejowej,

gdzie jechałam do Bochni i wracałam potem znowu..., a potem od Długiej do Marka znowu na uczelnię. Potem dodatkowo z alei Słowackiego (bo przeniosłam się z Lubelskiej na aleję Słowackiego, bo tam była i moja praca i świetlica i ten hufiec...). Potem z Alei Słowackiego - to głównie był tramwaj do Wielopole 1. Potem redakcja się przeniosła: jedna była na Marka, a „Student” był w Rynku Głównym. Ale już się drukarnia przeniosła z Wielopola na aleję Pokoju, i jak tak głównie na tych terenach działałam.

Z jedzeniowych spraw, to najpierw jadałam - dawano zupę na Marka - za złotówkę, albo tam, gdzie filharmonia, na... - jak się nazywa ta ulica?? - Smoleńsk. Tam też były zupy po złotówce. Największe moje wyprawy to były z dziewczynami na Skały Twardowskiego. Jedno najbardziej zapamiętałam, właśnie z powodu tej ulicy naszej Barskiej. Bo sobie kupiłam nowe buty i poszliśmy tam strzelać, bo tam były stanowiska strzeleckie i żeśmy ćwiczyły strzelanie. No i ledwo doszłam, tu też była taka tania kuchnia, wstąpiłam, myślałam, że już mi nogi odpadną, ponieważ te buty mi tak dały w kość [śmiech].

Jakie jeszcze miejsca dokładnie znam: spacerowe... przecież dzieci... musiałam z nimi spacerować i to tutaj cały czas. Spacerować bulwarami... to znaczy przedtem nie było bulwarów tylko była taka ścieżka i pełno zarośli do samej rzeki, i myśmy też szli na Skały Twardowskiego. Skały Twardowskiego miały takie jamy... jak one się nazywają?... jaskinie. Były tam takie jaskinie, poza tym przekrój [epok], bo tutaj kiedyś było morze, więc dokładnie żeśmy oglądali z dziećmi, jakie są tam jakieś muszelki, to znowu jakieś ślady ryb. Jednym słowem poznawaliśmy tamtą część. I spacerować długie, i z powrotem. Poza tym Park Jordana, też z powodu dzieci. Tu - z ulicy Barskiej. Myśmy tu zamieszkali w roku pięćdziesiątym ósmym i stąd jeździliśmy wózkami i nie tylko wózkami na aleję Słowackiego, bo tam mieszkali rodzice męża. I to wszystko.

Potem to były dalsze podróże, bo syn mieszka na Radzikowskiego, a ona [córka Marta] na osiedlu Czerwony Prądnik. Tak, zaczyna mi brakować nie tyle wyobraźni ile pamięci. Ale to nie są częste wędrowki, bo dzieci są bardzo zajęte. Córka pracuje w tym wydawnictwie, jak to się mówi, od rana do wieczora. Kiedyś, jak dzieci były małe, spotykaliśmy się na „wieczorku u babci”. Oni przychodzili, kończył się rok i pokazywali, jakie mają stopnie, każdy się chwalił. Oprócz truskawek na podwieczorek były nagrody. Myśmy nagradzali szóstką, piątką i czwórką. W zależności od tego, jaki był urodzaj roczny, tak dzieci dostawały. To nam zostało do końca. Teraz to się magisteria kończy jakimś pamiątkowymi podarunkami. Były to najczęstsze spotkania. No a poza tym były z racji moich jakiś tam książek i oni też uczestniczyli.

Poza tym co jeszcze można powiedzieć? No, Kraków w tej chwili jest nie do poznania zupełnie. Myśmy jeszcze jeździli tramwajami na przyczepach, na schodach, to się nazywało winogrona. Teraz to już jest nie to, ale przedtem to te winogrona były wiele lepsze, bo człowiek dał rady wejść, a w tej chwili sytuacja jest taka, że czasem przepuszczam tramwaj, bo nie daję rady wchodzić. I takie są mankamenty związane przede wszystkim z istnieniem ludzi, którzy już nie „szpanują”, jak to się za naszych czasów mówiło. Po prostu u nas jest niedaleko ośrodek dla niewidomych i to widać, jak oni są bezradni. My jakie mamy w tej chwili trudności z poruszaniem się... no... schody dla odmiany. Jednym słowem takie mankamenty.

Ale różnica jest ogromna. Przede wszystkim za naszych czasów to było małe miasto, poza tym miasto, które nie walczyło z infrastrukturą. Jeżeli tramwaj biegł Sienną i potem Małym Rynkiem przez Duży Rynek, wiadomo było, że infrastruktura nie wytrzyma tego wszystkiego. Za naszych czasów park krakowski był taki, że [na wysokość] sięgał nam do głowy, w tej chwili przecież w tym parku to można się zgubić wśród zieleni. Tak samo miasto. Tu... nasze okolice to była ulica Bzowa, ulica jakaś Jaśminowa i tu, gdzie teraz jest ulica Monte Cassino. A przecież na naszych oczach to się zmieniło. Zupełnie. Jak żeśmy ostatnio jechali... Bo proszono mnie o nagrywanie bajek dla dzieci, które uległy neuroinfekcji, to bardzo groźna choroba dla dzieci i są skazane na dłuższy pobyt w szpitalu i wskutek tego powstał nawet taki dość duży dział bajek dydaktycznych i nagrywanych w studiu w Skawinie, tam jest studio w tej szkole, piękna ta szkoła jest i tam jest studio nagrywające. Więc jak żeśmy jechali w tamtą stronę do Skawiny, to kompletnie nie to samo miejsce. Tam żeśmy już dawno nie byli.

Jaki braliśmy udział w życiu kulturowym Krakowa? Sami z racji wykonywanego zawodu to uczestniczyliśmy w imprezach literackich. Ich jest dużo, coraz to nowsze. W zasadzie można powiedzieć, że to środowisko jest na wyciągnięcie naszej ręki i bierzemy w tym udział, cieszy nas zwłaszcza, jak młodzi zdobywają, a nawet, jak starsi pokazują wagę swoich doświadczeń i tego, co przeżyli. Mniej uczestniczyliśmy w życiu teatralnym, co jest związane z naszym wiekiem. Kiedyś to żywiłowo wręcz, powiedziałabym namiętnie, uczestniczyliśmy w kinie, w życiu filmowym. Należeliśmy do - jeszcze jako ludzie niezwiązani specjalnie obowiązkami rodzinnymi - klubów filmowych. Takie były.

Część ludzi, aktorów, bardzo to popierała i myśmy w tym uczestniczyli. Potrafiliśmy zaliczyć na przykład w niedzielę po cztery, pięć filmów, bo były od godziny dziesiątej, potem czwarta, szósta. Jak odbywały się festiwale, takie przeglądy filmów, to żeśmy potrafili całą noc posiedzieć. Pamiętam, był taki jeden wieczór, kiedy zaliczyliśmy film o ósmej, potem o dziesiątej i jeszcze o pierwszej, o czwartej mąż prosto z kina pojechał do Warszawy, bo miał tam jakąś sprawę.

A w którym miejscu to kino było?

Proszę?

Gdzie to kino było?

Kino Warszawa, potem to było w kinie Wolność, w Apollo, poza tym jeszcze była Sztuka jedna na ulicy Jana, a druga, Uciecha, na Starowiślnej.

A jakiego rodzaju to były filmy?

To były przeglądy światowego kina. Na przykład pamiętam, jak „Lecą żurawie” podczas jakiegoś festiwalu były, potem taki o obżarstwie. Dużo było rozmaitych filmów, ja w tej chwili nie pamiętam tytułów, ale to były [filmy] o światowym znaczeniu. Żałuję, że teraz się takich przeglądów nie organizuje, w każdym razie do mnie nie docierają. To była bardzo piękna sprawa.

Z takich bardziej rozrywkowych to pamiętam Klub pod Gruszką, ale to było nie tylko rozrywkowe nie tylko - były spotkania. Można tam było zagrać w bridża na przykład, albo w jakieś inne gry, ale tam się odbywały także bardzo ciekawe spotkania dziennikarzy. Jak była sekcja reportażu - która była przy Zarządzie Głównym [SDP] - to przyjeżdżali ludzie z wielu miast, z Kielc, z Białegostoku, bo były takie specjalnie pisma, które się interesowały reportażem, zwłaszcza w tamtej stronie Polski. Tu też była sekcja reportażu, jeszcze jak pracował w dzienniku Roszko. On tworzył taki reportaż historyczny, bardzo ciekawy. I na temat właśnie takich kierunków reporterskich odbywały się spotkania Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a potem... Rzeczypospolitej, bo jak zwykle w Polsce też się podzieliło Stowarzyszenie na takie i takie. Ten podział dalej trwa przecież. Powiedziałabym, że najgorsza rzecz, jaka przypadła na te czasy najnowsze to te podziały; można się pięknie różnić, ale musi być jakaś dyskusja. A w tej chwili to po prostu, jakby młodzież powiedziała, zostaje „olane”. Jeszcze można powiedzieć bardziej dosadnie, ale ja nie jestem biegła w młodzieżowej gwarze [śmiech]. Cóż więcej?

Może jeszcze opowie mi Pani coś o studiach? Pamięta Pani jakieś zajęcia?

A, studia to u nas były niesamowite, przede wszystkim to był okres bardzo gorących dyskusji, no to były lata około czterdzieści osiem, przed zjednoczeniem organizacji młodzieżowych i ja tam niestety odegrałam pewną rolę. Mianowicie mój światopogląd podyktowany jest przecież moim pochodzeniem, wiadomo że zawsze będę po stronie tych, którym jest trudniej, nigdy nie będę po stronie - nie tyle po stronie, ile wśród tych, którym jest bardzo dobrze, bo to jest wykluczone przy takim, a nie innym pochodzeniu i doświadczeniach życiowych. Była dyskusja na ten temat, czy dopuszczać do uczelni ludzi... to się wtedy nazywało, obcych klasowo... czyli z innych środowisk, nie tych podstawowych. Podstawowe to wiadomo, że liczebnie i chłopci, i robotnicy - ich jest najwięcej. Ale chodziło o ziemian, bo tacy też jeszcze wtedy byli i tych ludzi, którzy na pewno społecznie i towarzysko i tak dalej... - byli inni. I ja doszłam do przekonania i to swoje zdanie powiedziałam (wtedy był ZAMP, to znaczy Związek Akademickiej Młodzieży Polskiej; ja należałam do ZAMP-u, chyba do ZAMP-u tylko, bo tam był i Bratniak, były organizacje demokratyczne, były organizacje różnych środowisk. I ten ZAMP organizował takie spotkanie na ten temat).

Ja oświadczyłam, że według mnie to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby oni studiowali, bo przecież widzą, jak kraj się rozwija, ile jest do zrobienia i dlaczego oni nie mają w tym uczestniczyć, dlaczego nie dopuszczać ich do nauki, kiedy tutaj każdy człowiek mądry jest potrzebny. A na to wstał kolega Szczepański, ten który potem był, Maciej Szczepański, który potem był szefem od telewizji i mnie zaatakował, że musimy się przyjrzeć koleżance, ja się nazywałam Nogajówna wtedy, jej pochodzeniu musimy się przyjrzeć, z jakiego ona środowiska pochodzi, skoro takie poglądy wygłasza. Na to wstał (było wtedy „Wici” jeszcze) taki kolega Żmuda - pamiętam, Jasio Żmuda, strasznie wysoki, on potem był kierownikiem muzeum w Poroninie, Lenina, ale długo, długo potem, ja z nim straciłam kontakt - wstał i oświadczył, że wobec tego napiszemy do gminy, z której to pochodzi koleżanka Anna i dowiemy się, jaki ona posiada majątek.

I napisali rzeczywiście i wtedy się ja sama dowiedziałam, że mój ojciec jest właścicielem pięćdziesięciu arów, taki był majątek. Tam była kwestia taka, że nawet ten Szczepański podał wniosek, żeby mnie relegować ze studiów, z organizacji i ze studiów. Ale okazało się, że publiczność zgromadzona do tego nie dopuściła, wskutek tego mogłam spokojnie skończyć studia. Zresztą, nie bardzo spokojnie, bo znowu ja z kolei zachorowałam. Była wtedy dyscyplina studiów, opuściłam chyba miesiąc, bo leżałam w szpitalu. Wezwano mnie, była taka

komisja na studiach, wezwano mnie, dlaczego [mnie nie było] i ja przyniosłam zaświadczenie.

To co tam jeszcze było na studiach. Głównie ześmy się przygotowywały z taką koleżanką Markiewicz. Nie było w ogóle skryptów, ja należałam do tych, które notowały, właśnie dla Markiewicz, dla innych kolegów. Uczyliśmy się wspólnie, żeby zaliczać egzaminy, właśnie z tych zapisków. W ogóle skrypt to był jeden chyba do Teorii politycznych, bo był taki przedmiot. To mieliśmy chyba jeden skrypt. Co jeszcze było na studiach ciekawego? Były te dyskusje polityczne, w których ja specjalnie nie uczestniczyłam, bo po prostu pracowałam i tylko przypadkiem na tym forum przed połączeniem organizacji wystąpiłam właśnie z wiadomym skutkiem. Ale na końcu stanęło na tym moim: no na przykład Gawlik, Kydryński - oni pochodzili z tych środowisk i okazało się, że bardzo pięknie potem pracowali, Szczepański zresztą też, on bardzo dużo zrobił dla telewizji, stał się, jak się okazuje ofiarą swoich własnych poglądów, bo jego poglądy w owym czasie nie były najlepsze, na topie nie były. Tylko, że mi się nic nie stało, a jemu się chyba też nic nie stało, bo nie sądzę, żeby w biedzie skończył, zresztą nie wiem, bo straciłam z nim kontakt, jak zresztą z wieloma. W zasadzie teraz, jak się spotykają ludzie z naszego roku, to jest nas dwoje: ja i jeszcze kolega Domański, który pracował w „Życiu Literackim” jako sekretarz redakcji. I tyle nas jest z rocznika, a na roku było około stu osób.

A jak na przykład wyglądały egzaminy?

U Pasenkiewicza... Pasenkiewicz to był filozof, a równocześnie to był chyba wojewoda krakowski. Myśmy się uczyły do tego egzaminu z koleżanką Markiewicz, która nie wiem, gdzie teraz jest i co robi, tośmy wykuły dokładnie jego książeczkę, bo on napisał taką książeczkę dla studentów. Wykułyśmy dokumentnie na pamięć. Nic nie rozumiałam, ale wszystko powiedziałam, co tam było napisane.

U Wyki normalne były pytania. To była rozmowa na tematy literackie, to mi się też bardzo dobrze rozmawiało. Poza tym z Dłuską, też bardzo dobrze mi się na tematy poetyki rozmawiało. Gorzej mi się rozmawiało... był taki przedmiot blisko geografii... ponieważ ja chodziłam do szkoły w okresie okupacji.

Tam nie było żadnej geografii, tam nie było historii, tam nie było polskiego. Uczyłyśmy się ze „Steru”, takiego pisemka; to pisemko było nawet dość dobrze robione, w każdym razie dla ludzi takich, jak ja, którzy się interesowali literaturą. Było tam dużo wierszyków, ja lubiłam wierszyki, do tego stopnia, że ja do dzisiaj pamiętam jeden wiersz o jesieni z tego

„Steru”: „Blade, melancholijne, zamglone jest słońce, / babie lato się snuje srebrnymi nitkami, / a w ciszą noc sierpnia gwiazdy spadające / zakwitły w mym ogrodzie białymi kwiatami. // Kształt gwiazd i gorzki zapach mają białe kwiaty, / zakwitłe w świetle sierpniowych promieni, / przypominają chwilę pożegnania z latem / i gwiazdom spadającym szeptane życzenia. // Księżyc błądzi po niebie, srebrząc domów dachy. / Miliony gwiazd migoczą, trudno je policzyć. / Astry pachną gorzkawo jesiennym zapachem / sentymentalnych wspomnień, niespełnionych życzeń” [śmiech]. Więc tak żeśmy się uczyli. Uczyliśmy się w szkole podstawowej ze „Sterów”, w szkole średniej z zapisków i tego, co powiedziała nauczycielka, bez żadnych książek, których nie było, na uczelni z zapisków, słuchania, bez skryptów, bez literatury. Ale to, cośmy się nauczyli to do dzisiaj umiemy, potrafimy wykorzystać. Najlepszy przykład – prozę - ponad dwieście książek, albo więcej, opracowanych dla ludzi interesujących się literaturą i dwadzieścia kilka własnych, nie licząc tego, co jeszcze przy okazji. Mogę powiedzieć, że naprawdę i szkoła, jeszcze przedwojenna, częściowo okupacyjna i powojenna dała mi podstawy bardzo dobre do życia.

To może jeszcze opowie mi Pani jeszcze coś o tym, jak poznała Pani swojego męża.

Aa.. od kłótni się zaczęło...

To wszystko się wiąże z tym, że myśmy należeli do tych roczników, które galopowały. Jak przyszedłam tutaj, to były ogromne różnice, nie tylko cywilizacyjne, kulturowe, ale językowe. Ja często nie rozumiałam, co kto do mnie mówi. Bo innym językiem mówiliśmy tam, spotykaliśmy się na gruncie literackim i innym, ale, jak mówię, bezpośrednich takich kontaktów nie było w różnych środowiskach.

Byłam opiekunem koła ZMP i tego koła nie było jeszcze, więc dyrekcja mi poleciła spotkanie zorganizować. A ja z dziewczynami porozmawiałam, bo tam głównie dziewczyny były, chłopców prawie nie, i postanowiliśmy, że spotkamy się gdzieś około godziny, no po lekcjach, trzecia, nim ja pójde na Marka. I przyjdzie ktoś z... to się nazywało... zarządu dzielnicowego, jakiś działacz [śmiech].

I zjawił się ten działacz. Ja tu jestem, przed tym... Ściana, ogłoszenie że jest spotkanie, właśnie że przyjdzie ktoś z zarządu dzielnicowego ZMP, tej organizacji młodzieżowej, i ja jestem i przychodzi on. I mówi: a gdzie tu jest zebranie, a ja mówię: to będzie w tej sali. A gdzie są dziewczyny? Znaczą, gdzie są uczestnicy? Ja mówię: przyjdą na pewno, przecież która godzina. A on mówi: ja nie mam czasu! Jest godzina piętnaście minut przed spotkaniem a tu jeszcze nikogo nie ma! Ja mówię: na pewno przyjdą, bo teraz się kończą lekcje

i zapowiedziały, że przyjdą po lekcjach. No koleżanko! – on do mnie – Jak wy pracujecie? A ja mówię: kolego [śmiech] pracujemy tak, jak możemy. I od rzeczy do rzeczy, on zdenerwował się bardzo, że on nie ma czasu i ja mówię: ja też nie mam czasu, ale myślę, że jakoś dojdziemy do porozumienia. I doszliśmy do porozumienia.

Koło powstało, on następnym razem przyszedł na posiedzenie Rady Pedagogicznej. Jak wygłosił referat, to mi tak oczy stanęły i myślę: Matko Boska, to on chyba jest jakiś [śmiech] nie wiadomo kto. Ogromna była różnica w... powiedziałabym... rozwoju intelektualnym... to znaczy moim i jego. Ja byłam przekonana, że on już jest na jakimś nie wiadomo jakim [szczeblu], no zarząd dzielnicowy, że stanowisko, a my tu takie, można powiedzieć dziewczyny z prowincji [śmiech]. I tak się to zaczęło.

Ja byłam pewna, że jemu się podobają te dziewczyny, te uczestniczki zebrania, tam były niektóre bardzo ładne. Ale okazało się... On mieszkał na alejach Słowackiego i ja na Lubelskiej, a szkoła była na Szlaku. Więc jak żeśmy wracali z tego zebrania, to on szedł w moim kierunku. I tak chodziliśmy, chodziliśmy. Jak się potem okazało, że to nie o moje dziewczyny chodzi tylko o mnie samą... Tak że się umówiliśmy. Umówiliśmy się pod zegarem na Długiej, obydwójce podobno żeśmy byli, ale ja zrozumiałam, że zegar to jest na Krowoderskiej, a on zrozumiał, że tam, gdzie jest [śmiech].

Poszliśmy na tę randkę i każdy wrócił okropnie wściekły, z tym, że on wpadł do mnie, bo wiedział, gdzie ja mieszkam, zresztą często tam bywał...

A ja nie mieszkalam osobno, tylko razem z taką staruszką, która była analfaberką, ale bardzo dobrym człowiekiem. Bez światła elektrycznego, tam nie było światła, bez wody bieżącej, ubikacje były na korytarzu, w takich warunkach mieszkalam. Najpierw mieszkalam na Długiej to na pół łóżka, bo tam sypiałam z taką moją daleką krewną, która miała piętnaście lat, może troszkę więcej, ale żeśmy się zmieściły. Ale w końcu tam były kłopoty z jej ojcem, który, można powiedzieć, nadużywał alkoholu, i musiałam stamtąd gdzieś pójść. I poszłam do tej wdowy, pani Chmielewska się nazywała, i tam mieszkalam...

I on się zjawił, na tej Lubelskiej: Co ja sobie wyobrażam?! Ja mówię: ja sobie nic nie wyobrażam, przepraszam bardzo, ja byłam [śmiech]. I tak to się zaczęło. Trwało pełne dwa lata przed ślubem.

A potem, ponieważ się wszyscy pobierali, w redakcji było chyba pięć osób, które właśnie się pobierały, to był czterdziesty dziewiąty, nie, pięćdziesiąty rok, pięćdziesiąty pierwszy. I nam zrobili wspólne wesele. Odbywało się na... tam potem była cenzura, a przedtem było stowarzyszenie dziennikarzy. I z tych wszystkich małżeństw jedna kobieta umarła jeszcze w małżeństwie, a reszta - wszyscy się rozwiedli. Kydryński właśnie wtedy się ożenił z

kimś z „Dziennika Polskiego”, ale się rozwiódł, potem następny się też rozwiódł, potem ktoś jeszcze się inny i w zasadzie myśmy się ostali.

A jak ten ślub wyglądał i wesele?

Wesele to było takie, że on się zwolnił z zajęć, a ja się też zwolniłam z zajęć, bo mieliśmy wszystko zamówione i trzeba było zwolnić się. I z gości był tylko jego kolega i moja koleżanka. Ale to było bardzo wtedy nowoczesne.

A jeszcze przed ślubem to gdzie się państwo tak na przykład spotykali?

Spotykaliśmy się właśnie w kinie, chodziliśmy do kina, do teatru, na koncert.

Na jakie koncerty?

W filharmonii. Tam były różne... Nie mieliśmy wprawdzie takiego biletu na stałe, ale od czasu do czasu żeśmy tam szli posłuchać muzyki, poważnej zresztą, bo tam tylko taka była. Poza tym, co jeszcze, mieliśmy jakieś dwie prywatki u sąsiadów. I tyle.

A teatr?

Teatr to jak zamawiali... - moja redakcja albo jego uczelnia. Tak żeśmy wtedy chodzili. Pamiętam „Sen nocy letniej”, bardzo piękny, Szekspira, ale to było przerywane tym, żeśmy oglądali, jak która jest ubrana, ale wszystkie wtedy były ubrane jednakowo: białe bluzki i ciemne spódnice. No tak, ja na studiach miałam jeden płaszcz, jedno ubranie takie do pracy i jedną sukienkę. A on nie miał więcej.

I jak się potoczyło po ślubie, gdzie Państwo zamieszkali?

Więc najpierw zamieszkaliśmy tam u tej Pani [Chmielewskiej], potem żeśmy zamieszkali na alejach Słowackiego. Tam był jeden pokój, który został opróżniony, i dostałam tam przydział. Potem, po siedmiu latach właśnie stąd wyjeżdżali lokatorzy, mój kolega ze studiów, któremu zresztą w jakiś sposób pomogłam, bo on został zwolniony w trybie nagłym, dlatego że wyszło, że on się stara o wyjazd, a nie powiedział tego.

Więc dlatego on stracił pracę, ale ja doszłam do przekonania, że on bardzo dobrze pisze i nic nie stoi na przeszkodzie, żeby on dalej pod pseudonimem pisał i coś zarobił. I on mi to zapamiętał i jak się zorientował, że ja nie jestem przeciwko niemu to powiedział: słuchaj, ja cię zamelduję, ty się potem będziesz starała, zresztą, z redakcji to na pewno [dostaniesz], umawiamy się, że ty tu przyjdiesz. Ale musisz pomóc mnie się urządzić. Więc ten stół, tamta szafa, duża szafa w pokoju, co tam jeszcze w pokoju było..., kuchnia cała to znaczy kredens, szafka stolik – za to wszystko ja muszę dostać przynajmniej sześćdziesiąt tysięcy.

I wtedy on [mąż] akurat zaczął robić Kraszewskiego, książki wydawał, wydał bodajże dziesięć książek Kraszewskiego albo więcej. I za te książki zgromadziliśmy pieniądze, oprócz tego jeszcze za pracę dodatkową - ja brałam bardzo dużo wtedy i dyżurów, a przede wszystkim pisałam dużo informacji, bo informacje były płacone wprawdzie niewiele, ale jak się dawało dużo... To było zawsze tak, że myśmy dostawali za tak zwaną gotowość tysiąc złotych pierwszego, a za wszystko, cośmy napisali, piętnastego.

Ale były wszystkie opłaty, [duże] jak na nasze kieszenie, i te chorowite dzieci. Także myśmy pracowali bardzo dużo. Jak były cztery godziny na spanie, to było wszystko. I w jakiś sposób w pięćdziesiątym dziewiątym roku żeśmy się [wprowadzili] dzięki temu koledze, który już niestety zmarł w ubiegłym roku (on potem przyjeżdżał tutaj, kontaktowaliśmy się, zawsze go gościłam serdecznie, pamiętam to do dziś, pamiętam go do dzisiaj i jestem mu bardzo wdzięczna, bo inaczej to ja nie wiem, jak byśmy dali radę). Nauczona smutnym doświadczeniem, córce sprawiłam książeczkę mieszkaniową, jak miała trzy lata. Jak skończyła studia w wieku dwudziestu sześciu lat to dopiero doszła do mieszkania.

A jak się udało Państwu pogodzić pracę i wychowanie małych dzieci?

Były różne kombinacje. Jak mieszkaliśmy razem - to przedszkole, ale z tym, że one chorowały i w przedszkolu. Przez pewien czas mieszkała u nas taka zaprzyjaźniona osoba, która niestety już nie żyje, i ona bardzo się opiekowała, głównie Wojtkiem.

Potem, jak się okazało, mnie złapała choroba, ale okazało się, że to nie było to, co oni [lekarze] powiedzieli, a przy okazji wszystkich musieli zbadać, bo to dotyczyło zagadnień płucnych. I wtedy ją też zbadali. Okazało się, że ona ma ciężko chore serce, także ona mogła być w każdej chwili umrzeć, o czym myśmy nie wiedzieli. Miała taką różową twarz, okazało się, że to nie była twarz rumiana, tylko to były wypieki – skutek choroby.

Jak zabrali stąd dzieci, on [mąż] był na stypendium na Litwie, ja zostałam sama, przychodziła tylko pielęgniarka przez dwa miesiące z zastrzykami, i przynosiła mi coś do jedze-

nia. I po tych trzech miesiącach okazało się, że to nie jest gruźlica, tylko że ja pracowałam i pracując przechodziłam zapalenie płuc i zapalenie oskrzeli - i to dało naciek wielkości pomarańczy. Dlatego wszyscy wrócili, bo to nie były prątki i okazało się, że Stasia właśnie ma tak ciężkie serce.

Przestała w ogóle cokolwiek robić, ja dalej płaciłam ubezpieczenie, żeby ona miała po prostu jakieś zabezpieczenie. Dopóki była tu, to znaczy w ogóle pilnując małego, to jeszcze było jako tako, a poszła tam - do Gdowa - i za dwa miesiące pobytu tam Stasi nie ma.

A potem to ja straciłam pracę i w pięćdziesiątym dziewiątym wzięłam takie dorywcze prace, nie w dzienniku, ale w gazetach długoterminowych. Potrafiłam to wszystko robić. Mały jeszcze był, cierpiał, musiał spać w szynach, i on w ogóle nie mógł spać, więc dopóki on nie zasnął to ja byłam ciągle przy nim, a potem on zasypiał, a ja szłam do roboty.

I pamiętam dobrze, na przykład raz poszłam, była jakaś konferencja, którą miałam obsłużyć informacyjnie. O godzinie jedenastej zaczęłam, o godzinie dziewiętej, po czterech kawach zaniósłam gotowe chyba trzydzieści stron maszynopisu. Albo on [mąż] przychodził, czytał, na przykład wstawaliśmy o piątej rano i dyktował mi w kuchni to, co miał do powiedzenia. Ale jak mówię: robota czekała. Można było pisać i tu, i tu, i tu, i tu. I za to małe grosze, bo małe, ale jakoś wystarczało. To tego była przyjaciółka-sąsiadka z góry. Jak nam brakowało na czynsz, co się płaciło piętnastego, a jeszcze pieniędzy nie było, to zawsze pożyczyla i myśmy nazajutrz oddawali. Ale to były piękne czasy.

Tak, a mówiła Pani też, że dzieci chorowały, i tak dalej. A jak wyglądały właśnie takie sprawy związane z medycyną wtedy w Krakowie? Z lekarzami?

Myśmy mieli bardzo dobrych lekarzy, ja do dzisiaj pamiętam takiego, zajmował się neuroinfekcją, doktor Janda, który się zajmował nami, prywatnie oczywiście, jak była jakaś nagła historia, a to był lekarz stamtąd, z góry. Jeśli chodzi o tę gruźlicę - miałam koleżankę, która studiowała i potem była właśnie [lekarzem], miała tę specjalność i ona mnie skierowała do swojego kolegi. Także to było na bardzo wysokim poziomie, profilaktyka, zabezpieczenie, przecież ja grosza nie zapłaciłam, ani jemu, ani pielęgnowarce, która przychodziła dzień w dzień, przecież mnie odizolowali jako osobę ewentualnie prątkującą.

Sprawa dziecka: z kolei mój redaktor naczelny miał koleżankę, Jagodzianka się nazywała ta lekarka, ona robiła wszystko, zresztą niestety sama zmarła na gruźlicę, zaraziła się, młoda kobieta. To byli prawdziwi społecznicy. Ja jej grosza nie zapłaciłam, a ona sprowadzała streptomycynę, z Paryża wtedy, bo to były lata pięćdziesiąt jeden-dwa. Chłopak, który się

urodził z.... jak to się nazywało... nie mógł w ogóle pić mleka.... ze skazą mleczną to on przecież by nie ocalał, gdyby nie na odmianę inny przyjaciel tego mojego naczelnego, który był z zawodu medykiem i który mi sprowadzał mączkę bananową.

Oczywiście za to płaciłam, bo taka paczuszka tej mączki bananowej to kosztowała dwieście pięćdziesiąt złotych. Na początku to [syn] jadł tylko jedną, ale potem to przyszedł czas, że jadł i trzy, przecież nie jadł mleka przez cały czas. On do dzisiaj mleka nie lubi. Jak tylko dostał jakieś mleko to z powrotem było to samo i znowu szpital. I poza tym muszę powiedzieć, że natrafiałam na lekarzy, którzy mieli serce. Przecież ten doktor, który leczył Wojtka, to on potrafił przychodzić tutaj parę razy dziennie, jak on dostawał anginy, przecież chłopak prawie w ogóle do szkoły podstawowej nie chodził, tak to było.

A dla mnie najgorsze było to, że ja nie wiedziałam, jak mu pomóc, ściśle przestrzegałam tego, co oni mówili, co mówili lekarze, i dzięki temu... To mi ten doktor powiedział - Józwa się nazywał, znakomity lekarz, prawie sto lat żył - on właśnie mi powiedział, że gdyby nie pani, to by to dziecko nie żyło. A wtedy mi bardzo pomógł Camus i jego „Dżuma”.

Jak to dziecko było w szpitalu, to ja wstawałam o godzinie czwartej, jechałam na piątą tam, niby do karmienia, ale tego dziecka nie mogłam karmić, tylko ściągałam pokarm i zostawiałam, i tak co trzy godziny przez całą dobę. I też mi lekarka powiedziała, że go ten pokarm uratował. Wtedy ja właśnie z tą „Dżumą” jeździłam, to był kawałek autobusem z alei aż na Strzelecką, dzień w dzień, przez cały miesiąc przeszło.

A potem, jak wrócił do domu, to znowu dostał mleko, bo tak lekarka kazała, nie wiedziała, że to jest to... i z powrotem. Ale metr osiemdziesiąt dwa chłopak ma, chłopak, teraz ma pięćdziesiąt trzy lata, córka też jest na chodzie, w tej chwili coś ma z kręgosłupem szyjnym. A co one miały w ogóle jeszcze do tego wszystkiego... kręgosłup im się pokręcił i to znowu cały rok na basen, bo musieli prostować. Córka siedziała cały czas tak z kijem - tu kij, z tyłu kij. Ten chłopak z kolei na odmianę miał specjalnie masaże, przychodziła pani codziennie, ale on już takiego urazu dostał... W ogóle do tego jeszcze miał chorobę popromienną. Pojechaliśmy do, nie pamiętam w tej chwili, jak się to nazywa, do Karpacza, okazuje się, że tam był uran, oni wydobywali i ten uran był także w wodzie. On wpadł w śnieg, woda się dostała do buta i ja zdejmuję mu but, a tu nagle wszystkie paznokcie odchodzą. On przez rok nie wdział buta, to było przed pójściem do szkoły...

I to się ciągle odnawiało. Wreszcie był taki doktor Winiarski, który go prowadził, pod Wawelem była przychodnia. Dziadek, który jeszcze wtedy żył, ojciec, ten Winiarski i jakiś profesor, nie mogli go zmusić do tego, żeby oddał materiał, żeby go zbadać. Doszło do takiej wielkiej awantury, że go wszyscy trzymali, on i tak nie dał, ale potem nastąpił przełom zaczę-

ło się goić. Potem jeszcze przez trzy lata trwało szukanie rozmaitych przyczyn tego, co to było i jednak doszli do przekonania, że to chyba było to. Ale to już chyba dosyć z tymi lekarstwami, lekarzami...

To znaczy, muszę powiedzieć, że takiego wielkiego poświęcenia, jakie wykazali ci lekarze, i ten Winiarski, który mu ratował nogi i ten Józwa, który go w ogóle uratował i ta lekarka... (bo była taka doktor, myśmy korzystali ze służby zdrowia, ale równocześnie redakcja - to znaczy nie redakcja, ale ona płaciła dodatkowo - żebyśmy mogli w każdej chwili... bo to był zawód bardzo trudny i tak ludzie przeważnie pięćdziesiąt pięć lat żyli, więc żeby tego wszystkiego uniknąć, mieliśmy taką doktor od dzieci, to znaczy pediatrę i poza tym tu w ośrodku też pracowała taka bardzo pani doktor, ona już nie żyje), ta lekarka z ośrodka potrafiła przyjechać o piątek nad ranem, bo chłopak coś złapał i... oko mu wysadziło, znowu przed pójściem do szpitala, momentalnie, razem ze mną pojechała do tego szpitala, o tej właśnie porze. To znaczy, nie tylko ja jechałam, bo mąż i jeszcze teściowa... ten chłopak biedny jechał: mam, co ze mną będzie? Już chodził do szkoły, do drugiej klasy, bo to [choroby, chorowanie] najpierw było, jak był mały, a potem się pojawiło, jak miał dziewięć lat. I wtedy z tych angin w ogóle nie wychodził prawie w ogóle.

Pamiętam, że raz zachorował po Bożym Narodzeniu, leżał cały styczeń, ten doktor Józwa przychodził, wreszcie mówi: no może już pójdzie do szkoły. Wstał i on ani buta nie wdział - okazało się, że on urósł o dwadzieścia centymetrów - ani spodni [śmiech]. Ale to najszcześniejsze, że to wszystko...

Najpierw oni, a potem ja na koniec, ale jakoś sobie znalazłam sposoby na te choroby, to znaczy żyję, najważniejsze. I muszę powiedzieć, że jednak dzięki prawdziwemu posłannictwu tych lekarzy. I on miał szczęście, i ja miałam szczęście, ja miałam szczęście do tego, że lekarz, z którym ja potem zaprzyjaźniłam się - po piętnastu latach poszłam do niego z kolejną książką i on mi mówi: czy pamięta pani jak to było... Ja mówię: no, tak trochę...

W zasadzie to mnie z jednej strony ocalił dowód osobisty i miejsce mojego urodzenia. Kiedy właśnie dostałam jakiegoś ataku, poszłam, to znaczy, odwieźli mnie do szpitala i tam pani, która się mną zajęła mówi: ma pani ze sobą jakiś dowód? Ja mówię: no, mam, bo to wtedy trzeba było nosić, bo to było tuż po stanie wojennym i ja jej daję, a ona mówi: o, krój to ja umrzeć nie dam, zaraz, proszę pani, pojedziemy dalej.

I rzeczywiście, okazało się, że ona miała ucznia, a ten uczeń akurat świeżo organizował taki... teraz to się nazywa OIOM - to znaczy organizował taką placówkę pomocy. I jak mnie tam zawieźli... tak, to było na Skawińskiej (doktor Szczeklik - jeśli nie przekreśliłam nazwiska - tam miał poradnię, specjalnie zorganizował... To było wtedy, kiedy ci lekarze do-

stali Nobla za rozpuszczanie skrzepów i on należał do tego zespołu, który nad tym pracował. Noblista pochodził oczywiście z zachodu, ale nasi mieli kontakty naukowe).

I ten lekarz, jak po piętnastu latach mnie zobaczył (ja tam byłam parę miesięcy, a potem stamtąd poszłam na kardiologię na następnych parę miesięcy, też do takiego [lekarza?, oddziału?].... to wszystko było osiemdziesiąt pięć, prawie sześć [lat temu])... I ten lekarz mi mówi: czy pani pamięta, jak to wyglądało. Ja mówię: tak trochę, wiem, że mi pocięto koszulę, którą sobie dopiero co kupiłam [śmiech] na wyprzedazy. Kupiłam sobie dwie koszule, jedna w czerwone kropki, a druga w niebieskie kropki i właśnie w tej koszuli byłam, kiedy oni mi wszystko pocięli. To, mówię, pamiętam. A on mówi: to już tyle czasu minęło, to mogę pani powiedzieć, jak było: o godzinie dwudziestej drugiej dostała pani atak, o godzinie dwudziestej czwartej uznałem panią za zmarłą i nie rozumiem, dlaczego pracowaliśmy dalej. Był młody zespół pielęgniarek... nie wiem... a pani zaskoczyła za dziesięć trzecia.

Jak tak szczęśliwie zaskoczyłam tak potem też szczęśliwie parę razy zaskakiwałam, ale szczęśliwie, od tej pory minęło przecież tyle czasu.

Dobrze, czy z tego okresu powojennego, coś jeszcze się Pani nasuwa takiego na myśl, o czym warto byłoby wspomnieć?

Przede wszystkim to, że tak bardzo kraj czekał na ludzi, na to, co potrafią, na to, że coś... No, wszelkiego rodzaju szkolenia [były], dużo było tego: i kursy i podnoszenie kwalifikacji i zdobywanie wiedzy jeszcze w taki sposób zorganizowany. To bardzo pomagało. Zwalniano nas [na te kursy]. Na przykład ja potrafiłam pojechać na kursy związane z prowadzeniem działu rolnego - stowarzyszenie to robiło - chyba na sześć tygodni. Dostawaliśmy normalną zapłatę, zwalnianie z pracy. I premiowano podnoszenie kwalifikacji. To dla ludzi, którzy mieli może wielkie ambicje to może było za mało, ale mnie to całkiem wystarczało i chciałam, i szanowałam to.

Nie mówiąc o tym, że właśnie [była] praca, wszędzie. Dlaczego ja się nie bałam, dlaczego ja się zdecydowałam na zamążpójście: bo była perspektywa. Ludzie się interesowali tym, co może być, bo było planowanie. Sami też nauczyli się planować....

Wprowadzenie tych właśnie możliwości zdobycia mieszkania... pomału, przecież tu się nikomu nie śpieszyło. Pewnie, że były warunki ciężkie, ale myśmy wychodzili z jeszcze cięższych warunków. No dla mnie spanie na jednym łóżku - wtedy, kiedy się spało kiedyś po cztery osoby na jednym łóżku - to [spanie] w dwie osoby to było bardzo dużo.

Najważniejsze to, że [była] praca. Oczywiście, że były trudności zaopatrzenia, ale to było tak, że jeżeli człowiek coś postanowił, to dało radę. Poszłam na przykład o pierwszej ze stołeczkiem do mięsnego, tam, gdzie było mięso sprzedawane, ale o piątej dostałam. Nie o piątej to o siódmej. Ale z drugiej strony, jak wiedziano tu w pobliżu, że ja mam małe dzieci, to zawsze mi ta z mleczarni zostawiała, bo wiedziała, że ja nie dam rady o piątej, bo gdzie indziej stoję, to jak przyszłam nawet o dziesiątej, to też miałam masło.

To były trudne rzeczy, ale się wydawało, że się to poprawi, człowiek wierzył, że się poprawi i równocześnie sam organizował i planował. Ja wiedziałam, że na przykład jeśli zrobię to i to, to będzie tak i tak, jeśli skończę to i to, to będzie tak i tak, bo w ślad za doksztalcaniem szły podwyżki, takie, jakie można było dostać.

A poza tym to demokracja dla mnie oznaczała to, że środowisko mniej więcej tym samym dysponowało. Ja wiedziałam, że mój naczelny mi trochę pomoże, bo zna więcej ludzi, ale w końcu to on tak bardziej ode mnie to nie opływał w dostatki. Demokratyzacja, pewnie że to było dzielenie - nazwijmy to - biedy, ale to było dzielenie, a nie jak w tej chwili ludzie się zamykają i tylko prywatnie.

Ja pamiętam tylko napisy „Nur für Deutsche” kiedyś, ale potem nie było „nur für taki czy siaki”. A w tej chwili: „teren prywatny, nie ma wstępu”. Poza tym była pewność, jeżeli wykonam to, czy tamto, czy siamto - no to będzie tak, i tak, i tak. Jeśli zaplanuję... moje doświadczenie to wskazało, że jak zaplanowałam, to do osiemdziesiątego dziewiątego roku jakoś to szło. Ale po osiemdziesiątym...

Jak ja miałam zapłacone za całe mieszkanie, bo zbierałam, odkładałam miesięcznie tyle i tyle, to było święte, bo to oznaczało, że mieszkanie będzie. I przyszedł osiemdziesiąty rok i za całość zapłaciłam, a tu wystarczyło na trzy metry. I skończyło się planowanie, takie, które w odniesieniu do mojej córki się jak najbardziej sprawdziło.

W tej chwili to jeszcze się słyszy, że czasy były straszne, może dla niektórych były straszne, dla mnie nie były straszne. Ja wiedziałam, że przecież jeżeli mam pracę, to dam radę i nie czekałam na żadne jakieś ulgi nie ulgi. Pamiętam, że część osób korzystała wtedy z pomocy państwa, to znaczy stypendia i tak dalej... Ja doszłam do przekonania, że jeżeli ja mam ręce, nogi, głowę to ja nie mogę liczyć na pomoc innych ludzi... to ja sama muszę, nie korzystając z żadnych stypendiów, z żadnej pomocy. Szukałam tam, gdzie ludzie mieli mało, ale potrafili się dzielić z takimi jak ja. I dotąd... Jakby to powiedzieć, z ogromnym takim lękiem [w przyszłość] patrzę, bo nie wyobrażam sobie, żebym wyciągała rękę.



JACEK KAJTOCH

(listopad 2010)

Nazywam się Jacek Kajtoch, urodziłem się w roku 1933 w Wadowicach. Do Krakowa przyjechałem późnym latem 1946 roku i to było moje trzecie miejsce pobytu. Pierwsze lata życia spędziłem w Wadowicach, które w trzydziestym dziewiątym roku zostały włączone do Reichu, a od pierwszych lat wojny do czterdziestego piątego roku mieszkałem w Mielcu, w mieście, w którym była fabryka samolotów, i tam zostałem osiedlony przez Niemców.

Ja wspominał o tych sprawach, dlatego że chociaż moje życie szkolne zaczęło się dopiero w trzynastym roku życia, tu w Krakowie, w szkole świętego Wojciecha - to zanim tu przyjechałem, podstawowe jakieś fundamenty mojego poglądu na życie w zasadzie były gotowe. Było to związane po pierwsze z ewakuacją z Wadowic do Tarnopola w trzydziestym dziewiątym roku, później z powrotem z Tarnopola, poprzez Lwów, właśnie do Wadowic. Następnie, pierwsze doświadczenia szkolne, jeśli tak w ogóle je można nazwać, to były w Wadowicach, w szkole miejskiej, a potem od czterdziestego drugiego roku chodziłem do szkoły w Mielcu. I to nie były doświadczenia takie *stricte* szkolne, ale bardzo charakterystyczne.

Trzydziesty dziewiąty rok czego mnie nauczył? - Panicznego strachu przed Niemcami i to trwało przez wiele lat, bo ja pamiętam, jak pod Brodami było takie wielkie bombardowanie; ja leżałem schowany pod kopą siana i podobno pupę miałem na wierzchu, i krzychałem do taty: „Tatusiu, tatusiu, czy mnie nie widzą?”... dlatego że bombardowano uciekinierów. Trzydziesty dziewiąty rok mnie nauczył nieufności wobec wszelkich hasła o Polsce - liderze Europy, o Polsce jako mocarstwie, dlatego że ja przez tych siedemnaście dni mojej odysei wojennej nie widziałem polskiego samolotu, polskiej armaty, polskiego czołgu, tylko uciekałem w takim wielkim popłochu, [w tłumie], na który składali się cywile i wojsko, ale wojsko uciekające bezładnie. Jedyne uporządkowane oddziały, które widziałem, to oddziały policji granatowej wycofujące się ze Śląska.

Więc paniczny strach przed Niemcami decydował o moim życiu przez wiele powojennych lat. A z drugiej strony przyjazny stosunek, przepraszam za niepoprawność polityczną, do Rosjan. Dlaczego... Dlatego, że kiedy zobaczyłem pierwszy radziecki samolot i po raz pierwszy zobaczyłem czerwoną gwiazdę, to proszę sobie wyobrazić, ja zacząłem też uciekać i ucie-

kałem do chałupy, gdzie wtedy się znajdowali moi rodzice, do takiej glinianej chałupy i krzychałem „tatusiu, tatusiu, samolot!” i proszę sobie wyobrazić, że to był pierwszy w moim życiu samolot, który nie strzelał do mnie, ale obniżył się i pilot samolotu, proszę sobie wyobrazić, zamiast strzelać do mnie to machał przyjaźnie rękoma.

Uczestniczyłem później w kolejnym wydarzeniu historycznym, to znaczy ja widziałem wojnę domową w Polsce. Widziałem, jak strzelano do ludzi, jak się wojsko broniło, jak atakowano więzienia. Tak, że nabrałem wielkiej awersji do wojny domowej. To potem decydowało na przykład o tym, że - nie ukrywam - nie wadził mi stan wojenny, bo uważam, że stan wojenny po prostu oddalił od nas niebezpieczeństwo wybuchu wojny domowej.

Więc w takim stanie ducha, ale z zerowym stanem umysłu, bo do szkoły to ja nie chodziłem *de facto*, przyjechałem do Krakowa. I tu muszę powiedzieć, że po raz pierwszy znalazłem się w mieście, gdzie wszystko funkcjonowało normalnie, gdzie działała szkoła. Ja mieszkałem na alejach Słowackiego, a szkoła moja była na Krowoderskiej między Inką a Wizytkami - taki był długi barak. Po latach dowiedziałem się, że to było tak zwane przytulisko dla weteranów powstania styczniowego. Kiedyś miało takie pierwotne przeznaczenie.

Moja szkoła miała sto pięćdziesiąt lat, więc była z dużymi tradycjami. Ja pamiętam, że od wczesnej wiosny do późnej jesieni do tej szkoły przez Krowoderską chodziłem boso, dlatego, że buty należało oszczędzać. Ale w tej szkole dostawaliśmy już ubrania, więc miałem też amerykański, wojskowy płaszcz, później miałem taką też kamizelkę skórzaną, co chyba piloci amerykańscy nosili. Dostawaliśmy w tej szkole drugie śniadania, to znaczy codziennie piliśmy kakao, panie nas wspomagały tranem: fatalne wspomnienie [śmiech] i dostawaliśmy bułki. W tej szkole zacząłem się po raz pierwszy uczyć, bo w okresie wojny nie miałem dostępu do książki. I w zasadzie wiem tylko, że nauczyciele bardzo dbali, bym nie mówił po polsku, i jeden nauczyciel starał się nas nauczyć tabliczki mnożenia, Ukrainiec, bo Ukraińcy byli nauczycielami w polskich szkołach. To byli ludzie zaufani, im Niemcy ufali.

A tutaj spotkałem po raz pierwszy polskich nauczycieli i muszę powiedzieć, to byli wszyscy nauczyciele przedwojenni, z bardzo dużym stażem, i ja zapamiętałem indywidualności, na przykład nauczyciela geografii, który się nazywał chyba Grzybowski, a myśmy go nazywali Grzybem. I on w moim życiu odegrał wielką rolę, ponieważ on co sobotę i niedzielę chodził z nami na wycieczki i on nas nauczył Krakowa. Ja do dziś korzystam z wiedzy, którą wtedy zdobyłem. Ja wtedy nawet zadebiutowałem jako literat, bo w gazecie szkolnej napisałem artykuł na temat sklepień się w Krakowie.

A gdzie państwo chodzili na te wycieczki?

Wszędzie tutaj naokoło chodziliśmy, poznaliśmy Krzemionki, wszystkie kopce, a przede wszystkim chodziliśmy ulica po ulicy i on nam objaśniał, te sklepienia sieni, oczywiście Wawel, i tak dalej - to było obowiązkowe. On w zasadzie nas uczył i geografii, i historii Polski. Miałem też świetną nauczycielkę polskiego i to była pierwsza osoba, która uważała, że ja dosyć dobrze piszę po polsku, Miałem tutaj, za moich szkolnych czasów - do matury włącznie byli w szkole księża - znakomitego katechetę. Ksiądz Władysław Bajer to był wikary w Kościele Mariackim i w związku z tym służyłem do mszy w Kościele Mariackim. Proboszczem był wtedy jeszcze ksiądz Maj. A księdza Bajera zgodnie z jego namową nazywaliśmy wujkiem. To był ksiądz... chyba... taka zapowiedź nowoczesnych księży, bo on z kolei z nami jeździł na wycieczki rowerowe w okolice Krakowa i grał z nami w piłkę. I oczywiście też odwiedzaliśmy go w domu, on mieszkał na ulicy Długiej.

Jeszcze żyje piętnastu moich kolegów szkolnych i kiedyś, jak wybuchły te sprawy z molestowaniem to myśmy rozmawiali i doszliśmy do przekonania, że my molestowani nie byliśmy. Natomiast ten wujek Bajer, bo tak go nazywaliśmy, on odgrywał wielką rolę w naszym życiu i do końca swojego życia, bo pod koniec mieszkał w Ameryce, ale z nami korespondował, do końca jego życia wymienialiśmy korespondencję. I on miał w górach dom, ja u niego nie byłem, ale wiem, że inni koledzy bywali, udzielał ślubów i tak dalej. Tak, że to była indywidualność. Ja bardzo nie lubiłem kościoła katolickiego, ale jego nigdy, on był zawsze przeze mnie lubiany.

Ale co było ciekawe, bo panią interesują takie smaczki tamtego życia. Byliśmy w klasie o bardzo różnych... pochodziliśmy z różnych środowisk. Mój ojciec był socjalistą i należał do PPS-u. Ale mieliśmy w klasie na przykład Władka Grodzińskiego, który był synem profesora UJ, chyba później rektora UJ. Mieliśmy też kolegę, który był synem prokuratora, nazywał się Szewczyk. I to właśnie, co żona zawsze wspomina: w czterdziestym szóstym roku był strajk szkolny. To młodzież starsza urzędowała, ale też były propozycje, żeby młodszy się przyłączyli.

I myśmy chcieli się przyłączyć do tego strajku, z tym, że nie wiedzieliśmy, jak to zrobić. Tu nie chodziło nawet o mnie, syna działacza PPS-u, czy o Władka Grodzińskiego. Chodziło tu o Szewczyka, syna prokuratora. Wtedy obowiązywała lojalność dzieci wobec rodziców i on wreszcie mówi tak: tak bym chciał iść na strajk, a może mnie wyrzucicie przez okno? [śmiech]. I ponieważ to był barak niski, myśmy go wyrzucili przez okno i musiał już iść [śmiech] zobaczyć ten strajk. Potem dyrektor nas opieprzył niesamowicie, szczególnie na

mnie się skupiło, że ja, syn działacza pepesowskiego, wziąłem udział w tym strajku. Ale ja nie przykładałem jakiegś wagi specjalnej do polityki.

Natomiast Władek Grodziński przez całe życie zbierał różne żaby, dżdżownice i tak dalej i przynosił do szkoły, bo jego ojciec był biologiem i on miał też zostać profesorem biologii, i został. Już niestety nie żyje. I strasznie się kłócił z Władkiem Bajerem, dlatego że Władek Bajer, oczywiście, zgodnie z doktryną Kościoła, atakował ewolucję, a po prostu ten wstawał i bronił, i Bajer go obraził. Mianowicie w jednej dyskusji powiedział, że się zgadza, że on, Władek Grodziński, pochodzi od małpy. I myśmy się wtedy wszyscy na księdza Bajera obrazili, ale jakoś potem się pogodziliśmy. Także już taka samodzielność umysłowa zaczynała się w nas pojawiać.

I potem razem, wszyscy, cała moja klasa, poszliśmy do szkoły Sobieskiego. A liceum Sobieskiego wtedy nazywało się trzecie liceum, dlatego, że pierwszy był Nowodworek, drugi był Jacek, Jacek został zlikwidowany po pewnym czasie, a myśmy byli trzecim liceum. Teraz to jest drugie liceum. Tam to byli naprawdę znakomici nauczyciele, a tylko wymienię. Historii uczył nas późniejszy profesor UJ-otu Fuks, i Piechowicz, polskiego uczyła mnie żona profesora późniejszego WSP w Krakowie, przyjaciółka Kazimierza Wyki, Zosia Nowakowska, przyrody uczył mnie Kloska, łaciny Szymeczko, to był wspaniały belfer, taki austriacki jeszcze. A matematyki to Jodłowski, on chyba też jakiś był astronom, czy coś takiego. Też przez jakiś czas uczyła nas siostra tej Kuglińskiej, która uczyła mnie polskiego u Wojciecha, była łacinniczką. Francuskiego uczyła mnie jakaś hrabina. Podkreślam, że nie było rosyjskiego w szkole. Pod koniec mojej nauki przyszła taka młoda nauczycielka rosyjskiego, ale ona nas nie uczyła, tylko zaczęła uczyć młodsze klasy, to była wielka sensacja, bo była młoda, ładna i pamiętam, że myśmy stali od ulicy Sobieskiego, przez schody, aż do pokoju nauczycielskiego, a ona szła cała spocona i czerwona a myśmy: aaaachch!, tak prawda ją witali. Dyrektor nazywał się Pawłowski. On chodził przez cały czas w mundurze andersowca, to był oficer, który wrócił z armii Andersa.

Myśmy palili papierosy, co było winą paczek UNRY, bo w paczkach UNRY było wszystko. Oprócz jedzenia, czekolady i tak dalej były papierosy, były nawet prezerwatywy. Nie wiedzieliśmy, do czego służą, i robiliśmy z tego sobie baloniki. I paliliśmy, tak jak mówię, papierosy, i paliliśmy. Jak pani pójdzie do liceum Sobieskiego, tam są takie jakby przedpokoje przed ubikacjami, myśmy palili w tych przedpokojach. I raz dyrektor nas wezwał, jak już byliśmy najstarszą klasą, przed maturą nas wezwał i powiedział nam w ten sposób: ja was chyba nie oduczę, a wy doprowadzicie mnie do zawału serca, a ja was nie oduczę palenia papierosów, a myśmy tacy zmartwieni. I mówi tak: ja wam zrobię palarnię, ale pod jednym

warunkiem, że nie będziecie wpuszczać tam uczniów młodszych. I kilka dni funkcjonuje ta palarnia, niesamowicie zadymiona i nagle przychodzi woźny i mówi: klasa jedenasta c do dyrektora. My idziemy wszyscy, a dyrektor mówi: poszedłem wam na rękę, zrobiłem palarnię, a wyście co zrobili. My nic nie wiemy, o co chodzi. Chodziło o to, że myśmy, że przyszedł na praktykę młody nauczyciel niskiego wzrostu, nazywał się Dyląg, on uczył później w technikum łączności matematyki. To myśmy zgodnie z poleceniem dyrektora go chwycili za kark, odwrócili i wykopali [śmiech], no bo mały, no to jakże, ktoś go musiał złośliwie na nas napuścić.

Więc ten andersowiec był wspaniały. Ale najbardziej ukochanym znowu przeze mnie, - to jest bardzo ciekawe, że ja bardzo lubiłem księży - był prefekt, ksiądz Jan Szymeczko. Prefekt w ówczesnych szkołach to była wielka figura, bo to był tak jakby wicedyrektor, po dyrektorze najważniejsza rzecz. I on był, no ja go później spotykałem, jak już był na emeryturze, tutaj mieszkał. I on był wspaniały. Żadne eleganckie suknie, chodził w polatanej sutannie, ale miał takie wielkie kieszenie i myśmy tak biegali, a on zawsze się zatrzymywał. Mówiliśmy: dzień dobry księżu prefekcie, a on sięgał do tych kieszeni i wyjmował to bułkę, to jabłko, to orzeszki i pytał się: głodny jesteś? A myśmy byli zawsze głodni [śmiech], mówiliśmy: oczywiście księżu prefekcie i nas częstował.

Ale zaczęły się takie ruchy laicyzacyjne. To było związane z powstaniem Związku Młodzieży Polskiej i on się dowiedział, że my mamy różne pytania i tak dalej. Przyszedł raz do szkoły, do klasy i mówi w ten sposób: napiszecie mi, o co wam chodzi i czego ode mnie chcecie, oczywiście nie podpisując się. Musimy rozstrzygnąć sprawę religii w waszym życiu, w waszym życiu szkolnym. I myśmy zadecydowali w ramach demokratycznych wyborów i dyskusji w taki sposób, że ci, którzy chcą się modlić rano i wieczorem, to będą się modlić, ale cała klasa stoi, natomiast oni będą stali, kiedy reszta klasy będzie śpiewała hymn młodzieży demokratycznej i rano, i w południe. Ja uważam, że to było najbardziej demokratyczne rozstrzygnięcie w sprawach światopoglądowych, jakie przeżyłem w Polsce Ludowej. Tak, miałem wielkie szczęście, bo ten Szymeczko to on potem patronował naszemu powrotowi do Kościoła.

A inna sprawa - na przykład ten profesor Spiechowicz - wprowadzono, jak byłem w ostatniej klasie, wprowadzono podręcznik tłumaczony z rosyjskiego. I to był taki podręcznik historii Europy, gdzie o Polsce tylko na marginesach, no zgodnie... - ja nie mam pretensji - zgodnie z naszą rolą w Europie. Ale nam się to nie podobało. I wtedy, pamiętam, przyszedł Spiechowicz i powiedział tak: macie nowy podręcznik, wasza sprawa, ale ja wam będę wykladał historię Polski. I on nam wyłożył historię Polski, także ja wszystko zawsze wiedziałem.

Czy ja wiem, może mówiąc o tym, tak, jak się dzisiaj myśli o PRL-u, to był jakiś wielki bohater, ale ja go uważałem za uczciwego, normalnego doktora historii. On odegrał wielką rolę w moim życiu, ponieważ on mnie po raz pierwszy posłał do muzeum Czartoryskich, do biblioteki muzeum Czartoryskich z poleceniem przeczytania dokumentów z przesłuchań młodzieży w roku 1846. To było bardzo dla mnie istotne, po raz pierwszy zobaczyłem dokument historyczny i po raz pierwszy oddychałem powietrzem biblioteki naukowej. Moim zdaniem to zdecydowało o moich późniejszych zainteresowaniach.

Ta Zosia Nowakowska... daj Boże wszystkim takich nauczycielek. Ona interesowała się naszym życiem, na przykład myśmy do niej chodzili na każdą Zofię z kwiatkami, ale proszę sobie wyobrazić taką klasę rozbuchaną, która szła nie normalnie tylko jeden za drugim, przechodząc przez dorożki i tak dalej. Dochodziliśmy do niej do domu, ale nie wchodziliśmy wszyscy naraz, tylko wchodziliśmy pojedynczo i ona nam spokojnie, pojedynczo otwierała drzwi. No a później, jak się zaczęło już chodzenie z dziewczynami, to ona chciała, byśmy przyprowadzali jej dziewczyny... i moją żonę też zaprowadziłem, późniejszą żonę do niej. To była kobieta, która przeżyła powstanie warszawskie i muszę powiedzieć, że ona też się nie bała pokazać nam gazetek tych z okresu powstania i opowiedzieć o powstaniu.

A odegrała też wielką rolę w moim życiu... po Spiechowiczu - ona. Mianowicie wtedy było modne i zaczynało się wysyłanie lepszych uczniów na studia do Związku Radzieckiego. Mnie też zaproponowano, żebym pojechał do instytutu literackiego chyba w Leningradzie. Ja bardzo chciałem gdzieś pojechać i powiedziałem, że pojadę, a na korytarzu spotyka mnie Zosia - bo myśmy ją nazywali między sobą po imieniu - i Zosia mówi tak: Kim ty chcesz być.

No ja mówię, że tam interesuję się literaturą, zresztą ona mnie zaprowadziła do koła młodych. Nauczycielka zaprowadziła szesnastoletniego smarkacza, do tego Otwinowskiego, Słomczyńskiego, oczywiście nic z tego nie wyszło, bo Otwinowski mi kazał napisać życiorys w formie noweli, także ja przez kilka lat tam na Krupniczej się nie pojawiałem, ale potem już miałem przetartą drogę i oczywiście poszedłem do nich.

I ona mi mówi tak: kim chcesz być. Nie no, marzę o pisaniu, może uczeniu polskiego, a ona mówi: ale chcesz być polskim pisarzem. Ja mówię: no oczywiście, jakim mogę być innym. A ona mi mówi w ten sposób: to ty idź na Uniwersytet Jagielloński, skończ Uniwersytet Jagielloński, a po skończeniu studiów możesz jechać, gdzie będziesz chciał. Ja wtedy wycofałem te dokumenty i poszedłem na Uniwersytet Jagielloński.

W czterdziestym dziewiątym roku zaczęto organizować Związek Młodzieży Polskiej. I w klasie rozpoczęła się dyskusja: byli przeciwnicy i byli zwolennicy. A jednocześnie, nie wiem już jak, zdobyliśmy pistolet, no i teraz problem jest taki: ci, którzy byli przeciwnikami

ustroju później mówili, że może zrobimy jakąś organizację, mamy pistolet, to możemy rozpocząć działalność. Ja nie należałem do przeciwników ustroju, mówiłem że może lepiej byłoby stworzyć ZMP. I ustaliliśmy, że będzie rzeczywiście lepiej stworzyć ZMP, znowu w wyniku dyskusji demokratycznej. No ale co zrobić z pistoletem? Delegacja na most Dębnicki przyszła i wrzuciła do Wisły, on powinien gdzieś leżeć na dnie, w mule.

Natomiast była też konspiracja w mojej szkole i jednego z moich kolegów zaaresztowano. I potem jak były te zmiany, ja wtedy po raz pierwszy... (bo myśmy sobie dali słowo, że nie będziemy o tym pistolecie mówić), ja wtedy po raz pierwszy złamałem słowo po osiemdziesiątym dziewiątym roku i opowiedziałem o tym, że mieliśmy taki pistolet, a oni: no, myśmy broni nie mieli, to nie mogliście nam dać - a ja mówię (to nauczyciel historii później był, razem z nim w jednej szkole dorabialiśmy): ty idioto, gdybyśmy wam dali ten pistolet to byś nigdy z więzienia nie wyszedł, a dzięki temu, że myśmy ten pistolet utopili, to wyszedłeś z więzienia, skończyłeś studia, zwiedziłeś całą Europę.

Wolny czas... nie było tak wolnego czasu. Po pierwsze chcieliśmy się uczyć. Przecież ja musiałem przeczytać wszystkie książki, które były w szkole podstawowej, przecież ja je czytałem dopiero w liceum. Po drugie interesowała nas piłka, to jest fakt, ale tylko graliśmy w szczypiorniaka i w siatkówkę graliśmy; potem zaczęły nas interesować dziewczyny.

Och jaka była sensacja! Bo ja chodziłem do szkoły podstawowej z synem Michała Budzyńskiego od Wolnej Europy i od Wesołej Lwowskiej Fali. Ale on się nie nazywał wtedy Budzyński, ale Stachiewicz (a potem na ucho każdemu powiedział, że jego ojciec to jest Budzyński, a jego mama to jest Stojowska aktorka). I on był niesamowicie rozbudzony erotycznie. Raz że chciał nas prowadzić do mamy, bo uważał ją za ideał piękności. Po drugie, przyszedł raz do szkoły - na Wiślniej był sklep z papierem - i mówi: miałem ekspedientkę z tego sklepu. Myśmy wpadli osłupieni. On ją dokładnie opisał. To myśmy chodzili, każdy z nas kupował gumkę, taką myszkę, chodziliśmy po to, żeby obejrzeć tą dziewczynę.

Ale to były zupełnie inne czasy, dlatego że nie było szkół koedukacyjnych. I myśmy mieli swoje liceum żeńskie, które do nas przychodziło na zabawy, a myśmy chodzili do tego liceum i myśmy bronili dostępu do tych dziewcząt. Nikt po prostu nie mógł podczas zabawy do nas się dostać. Jeżeli wchodził, to był bezwzględnie wyrzucany. Część kolegów się ożeniła później z tymi dziewczynami. Ja się ożeniłem z bocznego dopływu, nie z tego.

To znaczy?

No bo nie z tego liceum, żona też jest przyjezdna.

A jak państwo się poznali?

O, proszę pani, to pani by zupełnie zdębiała! Myśmy się poznali: ja byłem działaczem ZMP przez pewien czas, miałem szesnaście lat i byłem już instruktorem komitetu zarządu dzielnicowego Krowodrza, i wysłano mnie z odczytem, czy dla zorganizowania koła ZMP w szkole handlowej na Szlaku. No i ja przychodzę, patrzę się, nie ma jeszcze [tego zebrania], a jakaś taka, no, smarkuła, chociaż trochę ode mnie starsza, ale smarkuła - się kręci i ja się pytam, co to jest... – ona [na to], że jest tu nauczycielką (uczyła, to była taka... PO, przysposobienie obronne, uczyła PO), a ja ją objechałem i w zasadzie znajomość nasza rozpoczęła się od kłótni.

Ale ona [tj. znajomość] tak jakoś trwała, po pewnym czasie się zakończyła mocniejszymi związkami i małżeństwem, które już trwa pięćdziesiąt dziewięć lat. Także ZMP miało również sukcesy na polu kojarzenia par małżeńskich, nie tylko odbudowy stolicy i odbudowy fabryk, ale też i to. Także pojęcie wolnego czasu to nie istniało w ten sposób, myśmy nie chodzili na... jak to się teraz nazywa... te, no co się chodzi na zabawy w sobotę...

...dyskoteki.

No nie było dyskotek i tak dalej. Były potańcówki.

A te zabawy, o których pan wspominał przed chwilą? Te z liceum żeńskim?

To były szkolne.

To były szkolne zabawy, tak? A w jaki sposób one się odbywały?

Po prostu to organizowało grono pedagogiczne, które przez cały czas z nami było. I też były posiłki grona pedagogicznego, które przychodziły z dziewczynami. Nie wiem, co tam panie robiły między sobą, bośmy nie zwracali na nich szczególnej uwagi. Ale to nie było rozbudowane życie, ja pani powiem, byliśmy za biedni, zapracowani, biedni, nie mieliśmy się w co ubrać, no nieraz byliśmy głodni, także co innego nam było w głowie. A oprócz tego naprawdę chcieliśmy odbudować kraj, i chcieliśmy w nim zmienić życie. Myśmy mieli stosunek do tego kraju taki, że to jest nasz kraj. Nam się nie wszystko podobało, ale uważaliśmy, że można w tym kraju wiele rzeczy poprawić. Ja nie miałem innej ojczyzny. Ja się dowiedziałem

już jako dorosły mężczyzna, że niektórzy ludzie uznają rząd na emigracji, dla mnie to zupełnie śmieszne. Ja nie mogę, nigdy nie mogłem uznać tego rządu. Dlaczego? Bo oni uciekli z Polski. Jak tacy patrioci, to mogli zostać i walczyć tutaj. Więc tak to wygląda.

A jak wyglądała matura, przygotowanie do matury? Jakie przedmioty się zdawało?

Co ja zdawałem, zaraz pani powiem. Matematykę zdawałem... pisemny i ustny, cha, z tą matematyką! Nie miałem talentu, ale jakoś potrafiłem się nauczyć do tego stopnia, że nauczyciel matematyki, profesor Jodłowski, powiedział mi tak: słuchaj, teraz naprawdę potrzeba, szczególnie po politechnice ludzi, może dasz sobie radę skończyć jakąś politechnikę, idź na politechnikę. Nie, ale ja nie lubiłem matematyki.

To była matematyka ustna i pisemna. I język polski był, pisemny i ustny, no - to tu brylowałem. I była historia, i była nauka o świecie współczesnym. W mojej komisji już był tak zwany czynnik społeczny i on najczęściej... jeżeli się wtrącał... na mojej maturze to chyba się nie wtrącał, jeżeli się wtrącał, to pytał z tej wiedzy o świecie, o Polsce współczesnej.

To był jeden dzień, nie było tak rozłożone. Jeden dzień pisaliśmy, potem jeden dzień zdawaliśmy wszystko ustne i pod koniec tego dnia od razu nad komisja mówiła, czyśmy zdali maturę, czy nie. A potem był egzamin wstępny na wyższą uczelnię. Ja miałem kłopoty, bo okazuje się, że ja niewyraźnie pisałem, ale jakoś przeczytano. To było z kierunkowego, to znaczy ja na polonistykę musiałem zdawać literaturę polską, znowu pisemny i ustny, i też tą naukę o świecie współczesnym i o Polsce współczesnej, ale to najlepszy dowód, jakie to były czasy, to to, że myśmy dopiero pod koniec studiów się zorientowali, że z nami są dziewczyny.

Bo one chodziły w granatowych spódniczkach, białych bluzkach, miały warkoczki wszystkie, no były takimi polskimi dziewczynami. Choć próby organizowania życia towarzyskiego również istniały i były bardziej rozwinięte niż w szkołach – to grupy studenckie, bo to kładziono nacisk na integrację w grupach studenckich.

Uniwersytet to osobny rozdział, stan Uniwersytetu Jagiellońskiego wtedy..., kiedy ja przyszedłem, (w pięćdziesiątym pierwszym roku zdałem maturę) to był jeszcze uniwersytet posiadający wielkie nazwiska, jak ja pani wymienię, kto mnie uczył... Podstawowy kierunek: literatura staropolska: profesor Stanisław Pigoń, romantyzm krajowy: profesor Wacław Kubacki, literatura romantyczna: profesor Juliusz Kleiner. Tu się zaczynały problemy - literatura pozytywistyczna: jeszcze wtedy nie profesor, ale późniejszy profesor Henryk Markiewicz, literatura współczesna: profesor Kazimierz Wyka.

To były indywidualności - teraz uniwersytet nie ma tych indywidualności - i to odbijało się na swobodzie wykładu. I znowu ja nie mogę potwierdzić tego, co się plecie. Dam pani dwa przykłady: Pigoń, no Pigoń to się dzisiaj o nim mówi, że endek, może, ja tam nie wchodzi, był znakomitym znawcą literatury staropolskiej; dzięki niemu umiałem wiele tekstów literatury staropolskiej na pamięć, bo on tego nas uczył, wymagał. U niego egzamin to na tym polegał, że on zaczynał jakiś wiersz i trzeba było kontynuować ten tekst. Także on nas naprawdę nauczył literatury polskiej. I pamiętam, jak przez cały czas umacniał w nas przywiązanie do kultury polskiej, kultury ludowej i do chłopstwa polskiego.

No i pani sobie wyobraża: jest apogeum stalinizmu, Pigoń na katedrze - a on był głuchy, więc ryczał w sposób nieprzeciętny - i on tak krzyczy: chłop polski! To jest potęga! Jak w 1920 roku zagrozili naszej niepodległości bolszewicy to komu oddano premierostwo?! Witosowi! Polskiemu chłopu!

I to dzisiaj nawet tego nie powiedzą, bo powiedzą, że to nieprawda. A Pigoń miał odwagę i ja wziąłem to wszystko na serio, no bo zawsze się zajmowałem też kulturą Europy, zgodnie z tym, czego nas uczył.

A Kleiner... dam pani takie dwa przykłady. To był mały taki profesor, jak on wchodził to jeden z moich kolegów zdejmował mu płaszcz, inny odbierał mu teczkę i kładł na katedrę. On miał pięknie wystudiowane początki wykładów. Miał taki znakomity wykład o satyrze w epoce oświecenia To zaczynał tak: wszedł, stanął, tak się zamyślił i powiedział: z uśmiechem na ustach narodził się ksiądz biskup Ignacy Krasicki. Miał takie początki. I oczywiście romantyzm to naprawdę ukochany był przez niego, zawsze powtarzał cytaty ze swojego podręcznika, że Słowacki żądał od Polaków duszy anielskiej i dodawał: później to tylko marszałek Piłsudski żądał tego.

I wtedy się zaczęły te nowinki, to znaczy wyszła taka książka Żółkiewskiego „Spór o Mickiewicza” i myśmy strasznie chcieli się dowiedzieć, co profesor o tym sądzi. Więc przynieśliśmy mu, żeby sobie przeczytał, a on w ogóle był stale zadziwiony... Na przykład na seminarium, bo przez pewien czas u niego byłem, przynosił w różnych językach książki i mówił tak: no to pan przeczyta tę książkę, pan tę, a myśmy nie byli tacy sprawni językowo. I on się tak dziwił: co, wy nie znacie francuskiego? Wy nie znacie niemieckiego? Nie znacie angielskiego? Ale łacinę to chyba jeszcze znacie? Tak całkowicie był zdumiony... Ale przeczytał tę książkę Żółkiewskiego, przyszedł i – pamiętam - usiadł i powiedział z takim niesmakiem: idiotyzm [śmiech].

No i proszę. No to był mój ulubiony profesor. Ja mu zawsze przynosiłem w walizce książki, potem przychodziłem do niego do domu i profesorowa mi pakowała przeczytane książki i odnosiłem do naszej biblioteki.

Jakie legendy chodziły... to były legendarne postaci. Dlaczego myśmy kochali „Pana Tadeusza”, bośmy wiedzieli, że w roku 1919 Pigoń był dowódcą pociągu pancernego, który walczył z Ukraińcami. Raz ten pociąg dostał ogień z boku, żołnierze wpadli w panikę i wtedy Pigoń wyszedł i czytał „Pana Tadeusza”, spokojnie spacerując koło pociągu. A mieliśmy takiego... to bardzo ważna postać, w zasadzie po rektorze to była najważniejsza postać... to był pedel, Kielbasa się nazywał. To nawet w kronice życia Pigionia jest zaznaczone, że Pigoń któregoś dnia wojny razem z pedlem poszedł do urzędu, do biura wojskowego, chciał się zaciągnąć w 39. roku do wojska.

To były indywidualności, wielkie indywidualności. Ci, którzy dzisiaj są bardzo chwaleni, to byli już karierowicze, ja nie chce pani denerwować, bo to oni są dzisiaj bohaterami, a to byli karierowicze, mam wiele do nich zastrzeżeń. A ta stara profesura, ach, jaka była! Na przykład Taszycki i Klemensiewicz wykładali historię języka i każdy z nich był wyznawcą innej koncepcji powstania języka, a wykładali przemiennie i zaczęli wtedy w ten sposób: jak was z pewnością mylnie poinformował w ubiegłym tygodniu mój szanowny kolega... i zaczynało się od prostowania tego, co powiedział Taszycki [śmiech], a Taszycki prostował to, co powiedział Klemensiewicz.

Wtedy też się pojawili studenci zagraniczni i mieliśmy takiego studenta, który potem podobno doszedł w Jordani do jakiegoś wysokiego stanowiska. Klemensiewicz nie znosił spóźniałskich, myśmy biegli na łeb i na szyję, żeby przyjść przed nim i kiedy on wchodził, to myśmy już stali, czekali na niego. On oczywiście rozpoczynał wykład. A pewnego dnia otwierają się drzwi i staje ten Jordańczyk. Pigoń aż zawrzał, odwrócił się, widać, że jest wściekły, a ten mówi takim głosem: Ja jestem Arab. Pigoń się roześmiał i powiedział: a, jak Arab, to proszę bardzo, może pan zawsze przychodzić później [śmiech] i tak dalej. To były znakomite postaci.

Najgorszy wykład w moim życiu to miałem z historii. Był jeden dobry wykład, to był profesor Lepszy, rektor. A pani wie, że ja miałem wykładowczynię, to była kobieta, historii, która przyjechała ze Związku Radzieckiego i ona początkowo wykladała po rosyjsku. Potem się... nie będę wymieniał nazwiska, ale to wszyscy wiedzą, kto... potem się... jej mama to napisała o tym bohaterze... I ona się potem nauczyła, ale z trudnością przychodziło jej opanowanie polszczyzny.

Tylko to – to był naprawdę incydent. Natomiast Wydział, to się wtedy nazywało Filozoficzny, to był naprawdę oparty na przedwojennej, porządnej kadrze. Filozofii to mnie uczył Ingarden, Pasenkiewicz, zetknąłem się z Wolterem, który na sąsiednim prawie pracował,

Także wie pani, jak skończyłem w 55. roku studia, to wydaje mi się, że trochę umiałem... aczkolwiek nigdy się nie... można powiedzieć, że literatury polskiej to nauczyłem się wtedy, kiedy pierwsi moi uczniowie zdali maturę, bo się razem z nimi uczyłem, a pierwsi moi uczniowie obronili magisterium, też się razem z nimi uczyłem. Natomiast ci profesorowie dali mi podstawy i dali mi to, że mogę z radością wspomnieć o tych studiach.

A jak właśnie wyglądały jakieś obowiązki studenta, albo egzaminy, takie rzeczy?

No to bardzo były rygorystyczne i to trzeba było zdawać w terminie. Na przykład magisterium to musiałem napisać tak, że 1 maja 55 roku przyszedłem na pochód... (bo chodziliśmy na pochody, co było wielką zabawą, fotografowaliśmy się ze sobą, z profesorami, to była wielka zabawa) przyszedłem na pochód i pamiętam, że profesor Kubacki - bo u niego pisałem magisterium, bo pisałem z Kraszewskiego, literatura międzypowstaniowa - i on do mnie podszedł i mówi: przeczytałem pańską pracę, oceniłem na bardzo dobrze, ustalimy termin egzaminu.

To było 1 maja. Egzamin musiałem zdać chyba pod koniec maja, czy na początku czerwca. Dlaczego. Zanim ja zdałem egzamin, to już dostałem wezwanie do pełnomocnika do spraw zatrudnienia, który pracował w rektoracie, i on mi powiedział, gdzie mam iść do pracy. I tu komedia. Mianowicie on mi powiedział, że mam wyjechać z Krakowa, chyba na Opolszczyznę, albo gdzieś na Pomorze, nie, nie, chyba na Opolszczyznę. Ale ja zacząłem oponować, mówię tak: mam żonę, bo już ożeniłem się, córeczkę mamy małą i tak płacę niemalże, a on: a to pojedziecie z żoną, przecież dostaniecie na wsi mieszkanie, tam naprawdę potrzeba polonistów, bo trzeba przywracać ojczyźnie tamtejszych ludzi. A ja mówię: tu żona ma też pracę, żona pracuje w dziennikarstwie. I nagle wpadłem na genialny pomysł: to ja się zobowiązuję, że będziemy mieli drugie dziecko [śmiech], bo wtedy bardzo zależało na tym, żeby się rodziły dzieci, bo trzeba było odbudować straty wojenne. I ja się zobowiązuję. Że będziemy mieli drugie dziecko. Ale uratował mnie de facto Kubacki, bo Kubacki zażyczył sobie, żebym ja został jego asystentem i po prostu napisał, że on przewiduje zatrudnienie.

Trzeba było jeszcze po zakończeniu studiów, po obronie pracy magisterskiej pojechać na poligon i tam zdać egzamin wojskowy i egzamin na pierwszy stopień oficerski. To ja już tam byłem jako magister.

Ta kompania akademicka wzbudzała postrach, niesmak normalnych oficerów. Ja miałem kolegę, który pasjonował się Sienkiewiczem i w wojsku to... nas wojsko nudziło wtedy bardzo. Myśmy tak spacerowali i on mnie przepytował, w którym miejscu jakie wydarzenie jest, a ja też cytowałem coś i on mi mówił dokładnie, w którym rozdziale. I my zatopieni w rozmowie, a tu nagle: Studenci! – taki krzyk niesamowity. Myśmy nie zauważyli, że przechodziliśmy koło jakiegoś pułkownika i nie oddaliśmy mu honorów. My wyprężeni, w strachu wielkim, on wyciąga notes: Nazwiska! Która kompania?! My mu mówimy: pierwsza akademicka. Z jakim on obrzydzeniem spojrzął na nas, machnął ręką i poszedł.

No uznał, że nie ma co w ogóle gadać z takim materiałem [śmiech] na oficerów. Ale zdaliśmy. Zostaliśmy oficerami. I podpisywał pierwszą nominację niech pani zgadnie kto, marszałek Rokossowski, bo on w 55 roku był jeszcze marszałkiem, Ministrem Obrony Narodowej. To też nie wiem, chyba w tym muzeum zdębieją, że ktoś śmie się przyznać, że jest oficerem z nadania marszałka Rokossowskiego. To był świetny żołnierz. O nim chodziły takie legendy, że, ale to jest zupełnie inny temat. I co jeszcze mogę pani powiedzieć?

Potem poszedł pan do pracy, tak? Po tej przygodzie z wojskiem? I co to była za praca?

1 października od razu zacząłem pracować.

I co to była za praca?

Zostałem właśnie asystentem u Kubackiego, tylko że ze strasznie małą pensją. Moja pierwsza pensja to było dziewięćset złotych. Czy pani sobie wyobraża, że ja marzyłem przez lata, żeby mieć pensję 2 tysiące złotych, bo pomocnik murarski miał pensję 2 tysiące, a ja miałem dziewięćset złotych, czy dziewięćset coś...

A dziewięćset złotych to była mniej więcej równowartość czego?

Nie potrafię tego powiedzieć, ja pani mogę powiedzieć, ile co kosztowało. Tylko nie wiem, czy w tamtym momencie, ale kostka masła kosztowała 19 złotych, to pamiętam. Chleb to tanio, bułki to grosze, chleb to dwa pięćdziesiąt, bułki po 50 groszy. Potem kielbasa kosztowała 30 złotych. To nie było dużo. A jeszcze żona przecież też nie zarabiała wiele, chociaż więcej ode mnie. Dzieci...

Także w gruncie rzeczy polski inteligent był zawsze niedożywiony, więc mnie to nie dziwi, co się dzisiaj dzieje. Przecież też szkolnictwo wyższe, czy szkolnictwo średnie ma nędzne pensje. Mnie to nie dziwi. Po prostu nie byliśmy tacy potrzebni dla odbudowy i budowy fabryk, ale murarz to było coś. Więc ja chciałem być pomocnikiem murarskim. To było moje marzenie przez wiele lat. Z tym, że by mnie nigdy nie przyjęli. Dlatego że jak ktoś miał studia wyższe, to go nie mogli przyjąć na stanowisko robotnicze, bo ja też powinienem, bo ja byłem potrzebny na przykład do tego, żeby jeździć do Nowej Huty i uczyć czytać i pisać, bo przecież tu przyjeżdżali z Rzeszowskiego, z Kielecczyny, i oni byli analfabeci. I trzeba ich było uczyć czytać i pisać.

Tak, że to była praca pozytywistyczna, ona mnie nauczyła takiej postawy życiowej, że inteligent, po pierwsze, powinien współpracować ze swoim państwem, a po drugie, że on powinien pomnażać, jak myśmy to nazywali, pomnażać kulturę narodową. Mieliśmy taki neo-pozytywistyczny światopogląd. Tak nauczyło nas życie. No i nauczyło nas miejsca w szeregu, że nie jesteśmy liderem, ani mocarstwem, bo widzieliśmy wielką klęskę. I wie pani, czego się boję? Nie chciałbym dożyć jeszcze raz takiej klęski, ale mam nadzieję, że już jestem schorowany, więc nawet, gdybym się bardzo starał, no to ja zdążę umrzeć, W czym jeszcze nie zaspokoilem ciekawości?

Ja bym chciała może jeszcze zapytać o tą pracę, jakie pan miał obowiązki, może jaką później pan wykonywał pracę, po tej pierwszej w swoim zawodzie.

Pierwsza to była asystentura, potem przyszedł 56. rok i się zmieniło bardzo na lepsze. Miałem zajęcia proszę pani takie: zastępowałem Kubackiego, to znaczy z literatury romantycznej i uczyłem też poetyki.

I gdzie pan uczył?

Poetyki to na uniwersytecie. Ale nigdy nie miałem pieniędzy. W związku z tym dorabiałem ucząc w szkole. I uczyłem tak: w szkole zawodowej byłem nawet wychowawcą klasy stolarzy. Do dzisiaj, jak mnie spotykają to - muszę się pochwalić - bardzo mnie cenią, mówią, że dzięki mnie to umieją podanie napisać... i tak dalej, a nie mówią o tym, że nauczyłem ich na pamięć Bogurodzicy. Bardzo lubiłem ten tekst i do dzisiaj bardzo lubię i cenię.

Potem uczyłem, oczywiście uczyłem w Chemicznej Oficerskiej Szkole. Tam było obok więzienia na Montelupich, tam dalej. Tej szkoły już nie ma. To tu uczyłem na poziomie

średnim. Ale się pokłóciłem z wizytatorką, także uczyłem tam krótko. Wizytatorka była szczególną kretynką, nadzór szkolny nie był zawsze na poziomie. I potem uczyłem, i to były najpiękniejsze lata mojego życia, uczyłem w piątym liceum Witkowskiego na ulicy Studenckiej.

Muszę powiedzieć, że tam się czułem najlepiej. Bo tak: w szkołach uczą przede wszystkim nauczycielki, czasami pojawiają się mężczyźni i są na specjalnych prawach. Proszę sobie wyobrazić, ja, jak szedłem do pokoju nauczycielskiego, to miałem zawsze przygotowaną kawę, koleżanki częstowały mnie jakąś kanapką, a ja od czasu wojny bardzo ceniłem, że mnie ktoś czymś poczęstował. Było życie towarzyskie, były imieniny urządzone dla wszystkich, każda rada pedagogiczna kończyła się właśnie ciasteczkami i kawą. No matury to były, Boże kochany, rodzice robili specjalne przyjęcia i tak dalej. Także bardzo sobie ceniłem. No ale nie mogłem długo pracować, dlatego, że zabierałem godziny nauczycielkom, które chciały sobie dorabiać, a były pracujące na miejscu, także to było przez koleżanki często źle widziane.

A potem zacząłem już dorabiać jako krytyk literacki, pisałem recenzje wewnętrzne dla Wydawnictwa Literackiego, potem brałem udział w edycji pism obyczajowych i pism historycznych Kraszewskiego, wydawałem własne książki, tak że w jakiś sposób do pierwszego miałem. Ale także potrafiliśmy z żoną zabezpieczyć pod względem mieszkaniowym córkę i syna, ale sami już nie mieliśmy pieniędzy, żeby kupić sobie jakieś porządne mieszkanie. Także zawsze, tak jak mówię, inteligencja nie była dowartościowana. No a teraz jeszcze doszły... ja się źle czuję w tym kraju, ja ich nie mogę znieść, tego, jak się właśnie kłamię na temat naszego życia. To kto pani opowie o takich nauczycielach, jakich ja miałem?

No właśnie po to jest między innymi ten projekt, żeby dowiedzieć się od tych osób, które bezpośrednio się u nich uczyły...

Jeżeli jest po to, to ja bardzo cenię. Ale nie mogę znieść tych kłamstw, otwieram dzisiaj radio, zupełnie niepotrzebnie jakiś facet mówi: nowa okupacja. Ja pani mówiłem, jak ja zobaczyłem okupanta. A to, że opowiadają na przykład, stale zajmują się Służbą Bezpieczeństwa i tak dalej. To byli ludzie, z którymi ja chodziłem do szkoły, przecież to nie przyjechali z Rosji, tylko cała nasza milicja i Służba Bezpieczeństwa to była młodzież pochodzenia chłopskiego. Także to wszystko inaczej wyglądało, ja w ogóle nie rozumiem, po co to wszystko. No więc widzi pani, tak to wygląda.

Także żałuję, najlepiej mi się uczyło w szkole, a później pod koniec pracy zawodowej to mi się najlepiej uczyło w tych nowych szkołach licencjackich, bo uczyłem w Przemysłu przez pewien czas, uczyłem w Krośnie, bo ja skończyłem z pracą zawodową, kiedy skończyłem siedemdziesiąt dwa lata, bez przerwy od 55. roku do roku... ja skończyłem siedemdziesiąt dwa lata, to kiedy ja skończyłem? Urodziłem się w 33. No jednak tej matematyki to ja nie pamiętam. To ile miałem lat, który to był rok, jak ja skończyłem 72 lata?

...2005?

Co? Tak. Wtedy skończyłem, i się zaraz rozchorowałem. Tak że bardzo, bardzo żałuję. Aczkolwiek muszę pani powiedzieć jedno: mnie bardzo nauczono cenić polską literaturę i polską kulturę. I kiedy w połowie lat siedemdziesiątych usiłowano zreformować program nauczania języka polskiego, ograniczając kanon lektur, to ja byłem jednym z tych, którzy stali na czele swoistego buntu wśród nauczycieli i literatów. Nie dopuściliśmy.

Proszę pani, teraz byłem w Warszawie, nauczyciel polonista dobrej szkoły mówi, że w tej chwili wchodzi program... w ciągu trzech lat będzie tylko 5 lektur polskich. To ja nie wiem, co ja bym zrobił. Ja się dziwię, że polscy nauczyciele nie protestują. Ja wiem, że jesteśmy może anachroniczni, ale ja też nie mogę zrozumieć, jak minister oświaty, czy minister szkolnictwa wyższego co drugie słowo mówi *okay*. Czy pani słyszała, żeby ja powiedział *okay*? Bo ja mogę mówić mniej lub bardziej nieudolnie, ale po polsku. I mnie nie imponują żadni Amerykanie. Tak samo jak, ja bardzo nie lubiłem stalinowców, też mi nie imponowali. Już nie mówiąc o tym, że fabryki, które myśmy w czynach społecznych budowali, w tej chwili leżą w ruinie...

Chciałem powiedzieć też o atmosferze w liceum Sobieskiego. W 57. roku myśmy obchodzili kolejną rocznicę powstania i w programie było przejście ze sztandarem szkolnym na Wawel, tam była msza w katedrze, i później mieliśmy odwiedzić grób naszego patrona i każdy miał dać jeden kwiat. No i ja zauważyłem, że starsi koledzy przechodzą koło grobu naszego patrona i z tym kwiatkiem idą dalej. I ja z ciekawości poszedłem za nimi. Wtedy po raz pierwszy poszedłem do grobu Piłsudskiego i razem ze starszymi kolegami dałem też tam kwiatek. Przy kolacji tego samego dnia pytam się któregoś z tych starszych kolegów, u nas obowiązywał taki zwrot „panie kolego”: panie kolego, dlaczego wyście nie dali Sobieskiemu tylko poszłście do Piłsudskiego? A ten spojrzał tak na mnie i powiedział: panie kolego, pan jest młody to pan nie wie, że myśmy wszyscy poszli do legionów. W tej atmosferze myśmy wzrastali. Jakoś ten starszy kolega się nie bał, wszyscy koledzy dali kwiatki. I też mnie nic się

nie stało [śmiej], że poszedłem za nim. To charakteryzuje to liceum Sobieskiego. Już nie mówię więcej...

■

*Historia, której bohaterami były te dwa teksty, rozegrała się w 2010 roku. Pewnego dnia dyrektorka Muzeum Polski Ludowej w Nowej Hucie (celowo nie podaję nazwisk, bo sprawa jest żenująca) zwróciła się pisemnie do mojej żony i do mnie z prośbą o wzięcie udziału w wydawnictwie zbiorowym na temat życia codziennego w PRL, wspomnianego i widzianego przez obywateli tamtego państwa. Przyznaję, że się wahałem, czy odpowiedzieć pozytywnie. Żona była dobroduszną i nie wietrzyła podstępów, więc się zgodziliśmy. Przyszła do nas do domu współpracownica tegoż muzeum i nagrała z nami rozmowę. Rzecz została przyjęta do druku. Inna pracownica – również u nas w domu – zrobiła korektę i autoryzację.

Zapadła cisza trwająca kilka miesięcy. Od osób trzecich dowiedzieliśmy się, że rozmowy z nami zostały z książki usunięte. Nigdy nie zetknęliśmy się z takim postępowaniem: dyrektorka muzeum, która zamówiła u nas rozmowy, osobiście nas nie poinformowała o konfiskacie tekstów, ani o przyczynach tej konfiskaty. Od osób trzecich dowiedzieliśmy się, że stało się to na żądanie jakiegoś wybitnego polityka, który właśnie przygotowywał się do objęcia wysokiego stanowiska w rządzie. Inna wersja głosiła, że dyrektorka oparła się na kalumniach chorych ludzi pisujących w internecie, choć wiadomości przez nich podawane były przecież za każdym razem prostowane i nie miały urzędowej weryfikacji.

Byłem zadziwiony. W PRL miałem kłopoty z cenzurą. Zatrzymano kilka moich publikacji. Niektóre z nich po targach wydrukowano, inne musiałem złożyć do działu rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej. Ale zawsze o decyzjach mnie informowano i dawano szansę dyskusji. W tym wypadku tego nie było, a sympatycznej pracownicy przeprowadzającej wywiady zakazano nawet kontaktu z nami. Naprawdę, prawo prasowe w PRL było bardziej ucywilizowane i zgodne z europejskimi standardami.

To, co z nami zrobiono, było przejawem lekceważenia prawa. Ja mam grubą skórę i nigdy nie spodziewałem się niczego dobrego ze strony poprzednich i dzisiejszych rządów. Żonie było bardzo przykro.

Tak się złożyło, że za kilka miesięcy zmarła. Z pewnością obserwowała ten tłum księży i literatów, który ją zegnał na Cmentarzu Rakowickim. Mam nadzieję, że nie było wśród nich funkcjonariuszy Muzeum Polski Ludowej. Takiej hipokryzji moglibyśmy nie wytrzymać. Ona, tam, w domu Ojca, a ja - w dzisiejszej Ojczyźnie. [Przyp. Jacek Kajtoch]

